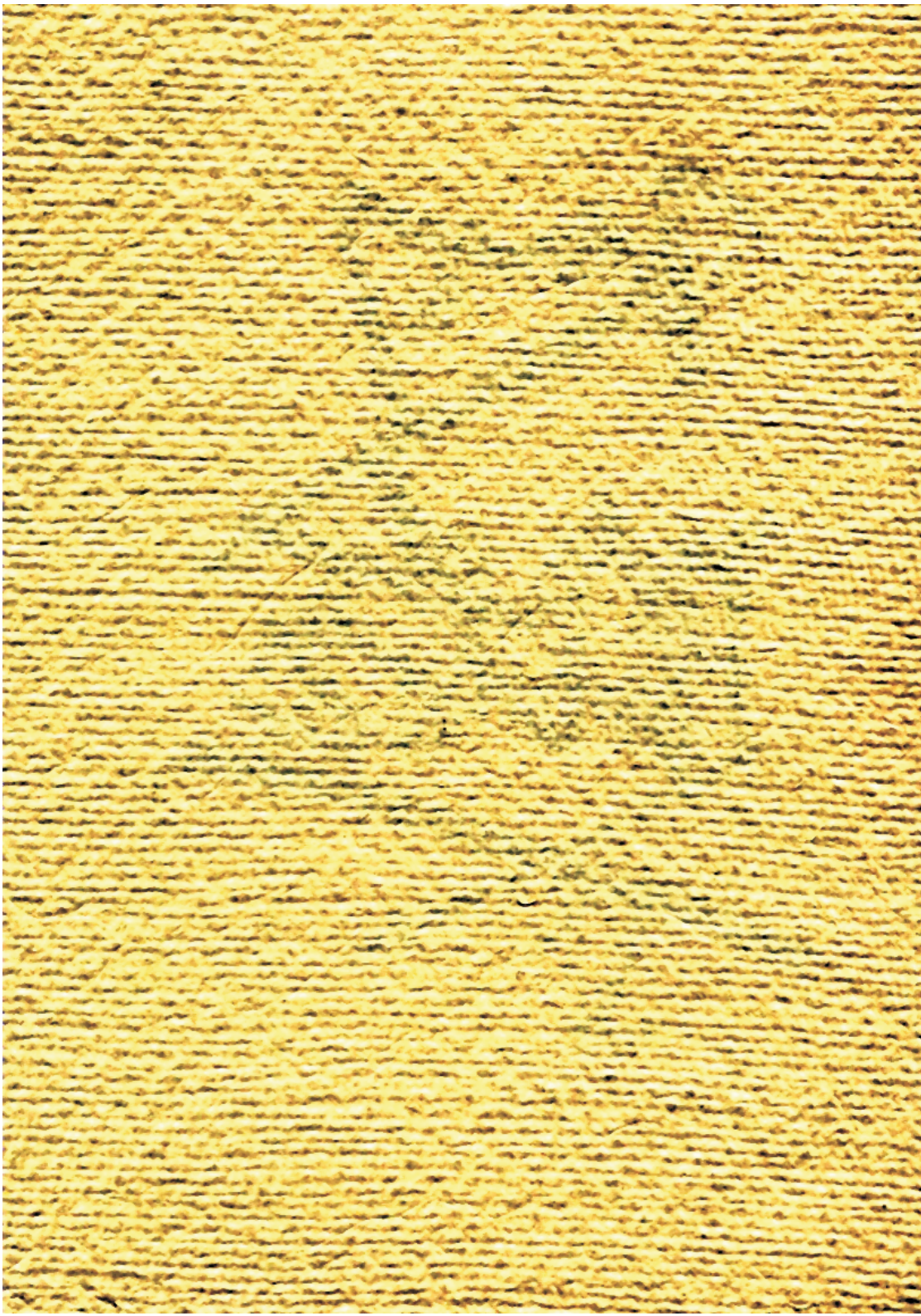


1995  
2



**NIEBYWALY** wzrost nakładu: aż o 60 %!! I cztery strony więcej!

*W nrze m. in.: małe prozy, kilka kawałków ze zbioru Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu, noty i polemiki, a także kabalistyczny rysunek Leopolda Buczkowskiego. Znowu o Ernieście Dyczku... Na ostatniej stronie nie znany Zanikający rytm Stanisława Kortyka.*

# Przecinek

Małe prozy i  
marginalia  
Jerzego Pluty

Wrocław - 1995, z. (-) 2

Redaktor: Piotr Czyżyk

Seria I (minusowa) : na prawach rękopisu \* © Copyright by Jerzy Pluta \*  
Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved \* Zezwolen na druk  
(lub tłumaczenia) udziela Jerzy Pluta, 53-533 Wrocław,  
ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (0-71) 61-75-39 \*

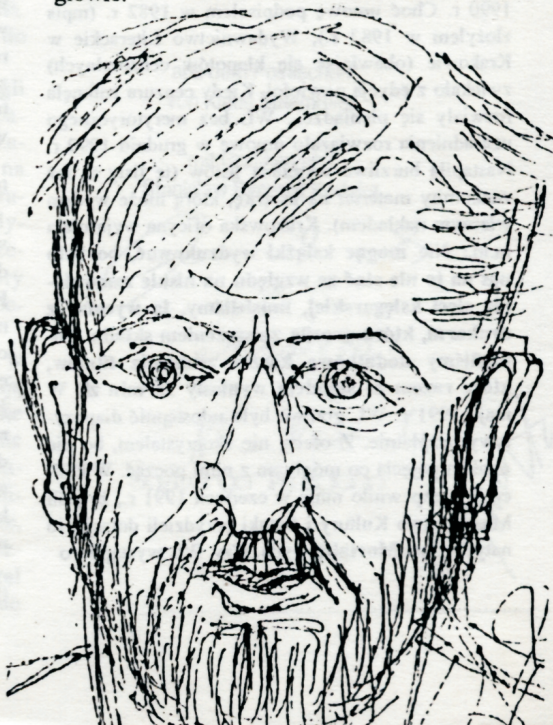
## Od redaktora

Jednak ukazuje się zeszyt drugi! Z pewnym opóźnieniem, bo... Owszem, i JP, i Redaktor otrzymali liczne głosy poparcia (czytaj: ok. 30 listów i telefonów), niektóre osoby zapewniały, że zamierzają zostać współmecenasami *Przecinka*, lecz skończyło się na uprzejmościach. W lecie Szefer oddawał się dolce far niente, potem zajął się tekstami i już, już zeszyt był gotowy, a tu w połowie października (w mieszkaniu!) Ktoś podłożył mu Kłodę i teraz dni i noce spędza (z zagipsowaną nogą – lewą) w pozycji horyzontalnej, która raczej nie sprzyja pracy literackiej.

Dziękuję wszystkim sympatykom *Przecinka* za dobre słowa, za zachęty i zapewnienia o ew. współmecenasowaniu pisma. Oto mecenasi drugiego *Przecinka*: **Hubert Dziubich** (skład komputerowy większości tekstów) i **Norbert Q.** (nazwisko znane redakcji – papier czerpany – z. 1 i 2 – z Zabytkowej Papierni w Dusznikach Zdroju).  
Merci, danke schön, dziękuję!

## Piotr Czyżyk się ujawnia...

Kilkunastu czytelników *Przecinka* pyta: jak wygląda Piotr Czyżyk? Krystyna Dyrda-Kortyka tak oto 5 I 1989 uwieczniła go czarnym flamastrem (*Druga księga autografów*, s. 20). Po latach – niestety – ubyło mu włosów na brodzie i oleju w głowie.



## Wyzbyłem się złudzeń: nikt nie czeka na moje nowe książki...

Rozmowa z Ernestem Dyczkiem, pisarzem i dożywotnim prezydentem Autosji

– *Co porabia dziś „Biała Dama”?*

– Leżakuje. Prawie cały nakład powieści (3900 z 5000 egz.) został zamarynowany w „Skladnicy Księgarskiej” w Katowicach. W wyniku moich poszukiwań „odkryto” ową **Damę** pod koniec kwietnia 1995 r. Praktycznie więc książka nie trafiła w 1991 r. do księgarń. Prawdopodobnie jej żywot jest przesądzony: trafi na przemiał, gdyż żadna hurtownia nie wykazała nią zainteresowania. Czynnikiem takie próby. Zaginiona, a teraz odnaleziona **Dama** dla obecnych pseudoksięgazy, niastawionych wyłącznie na zysk, jest książką antykwareczną... Drobną część nakładu zakupię dla własnych potrzeb. Być może za kilka lat ktoś będzie **Białą Damę** (z autografem!) sprzedawał po wyjątkowo korzystnej cenie... Jeśli „na rynku” zostanie jedynie 100, 200 egzemplarzy powieści.

– *Na skrzydełku okładki „Termitów” powiadasz, że trzy Twoje książki od wielu lat gotowe są do wydania...*

– Na **Przedmowę do czytelnika i Cokół dla dinozaurów** nie znalazłem wydawcy. Natomiast powieść **Mortalia** była gotowa w diapozytywach w 1990 r. Choć umowę podpisałem w 1982 r. (mpis złożyłem w 1983 r.), Wydawnictwo Literackie w Krakowie (obawiając się kłopotów cenzuralnych) zwlekało z edycją powieści. Kiedy cenzura zniknęła rozwiązali się pieniądze... WL bez merytorycznego uzasadnienia rozwiązało umowę w grudniu 1990 r. Nastąpiła burzliwa wymiana listów (te listy to też znakomity materiał na książkę, którą może wydam własnym nakładem). Krakowska oficyna wyjaśniała m.in.: **Nie mogąc książki wydrukować, bo było nas na to nie stać ze względu na niskie zamówienia sieci księgarskiej, musieliśmy, ją wycofać z drukarni, która groziła zniszczeniem składu. Poniśliśmy dodatkowe koszty zrobienia filmów, które razem ze składem wyniosły 16 mln zł!** W maju 1991 r. WL gotowe było udostępnić diapozytywę bezpłatnie. Z oferty nie skorzystałem, bo nie miałem pojęcia co mógłbym z nimi począć. W końcu WL zapewniło mnie w czerwcu 1991 r., że jeśli Ministerstwo Kultury i Sztuki przydzieli dotację, to natychmiast **Mortalie** wyda. Czy WL wystąpiło o

pieniądze? - nie wiem. Pewnie tego nie zrobiło. No i książka chyba do dziś straszy w jakimś magazynie WL. W diapozytywach.

– *Nie będzie więc trzeciej części „Komedii społecznej”? „Autosja” ukazała się w 1983 r., „Mortalia”, jak mówisz, wciąż straszy. A „Wratislavia”?*

– Nie będzie **Wratislavi!** Kiedyś sformułowałem taki aforyzm: **Naród**, który nie potrafi utrzymać swoich artystów, w ogóle nie zasługuje na to, by artystów posiadał. Chyba po raz pierwszy w historii naszego narodu, ci którzy uparli się, by mu przewodzić, traktują artystów, a już szczególnie pisarzy, z taką pogardą. A jeszcze okrutniejsze jest to, że **naród** biernie na tę pogardę przystaje. Jeśli więc **Polacy** jedną moją powieść wysyłają na makulaturę, a drugą skazują na niebyt, to po co pisać kolejną? Niech **Polacy**, którzy przyjdą po mnie, sami napiszą tę powieść... Ową **Wratislavię** – 7 teczek notatek i dokumentów zostawię im w spadku w szafie na upiory.

– *Dlaczego uważasz, że naród ma dbać o pisarzy? Pisarz zwraca się przecież nie do narodu, lecz do konkretnych czytelników...*

– Tylko **naród**, jako całość, jest konsumentem wytworów rodzimej sztuki. Jeśli zatem uzna, że nie warto wydawać pieniędzy np. na kupno książek rodzimych pisarzy, łatwo może jako **naród** wypaść z obiegu. Roztopi się w zamerykanizowanej podkulturze – ten proces jest już widoczny... i to nie tylko w reklamie!

– *Co teraz piszesz? Co sądzisz o aktualnej sytuacji w literaturze?*

– Piszę obecnie tylko to, co się u mnie zamawia i za co ktoś płaci. Ostatnio napisałem prawie dwustronicową **Księgę Wydziału Mechaniczno-Energetycznego Politechniki Wrocławskiej**. Pisanie literatury pięknej zostawiłem tym, którzy jeszcze nie wyzbyli się złudzeń. Po prostu nie widzę ew. czytelników moich nowych utworów. Młodzieży już dziś wystarcza w zupełności telewizja – tam akcja wartka jak z kałasznikowa. Nie, nie odpowiadam mi rola dostarczyciela surogatów dla szybkostrzelnych mediów, a tylko takie powieści są poszukiwane. Zadowolę się honorową posadą dożywotniego prezydenta Autosji.

## Co mi tam jakieś Sarajewo

Już nie mogę na to patrzeć, mówię panu. A pan nie ogląda? A to Jugosławia (a to jakaś Rwanda, a to Czeczenia, gdzie to jest, psiakrew!), a to Indie. Jak pokazują w telewizji zabitych, poranionych, a to z obwiązaną głową, a to dzieci bez nóg, a to..., ach, zasłaniam ekran ręką. I jeszcze mówią, zazwyczaj te słodziutkie, cipulkowate dziennikarki, że to Europa jest winna, że wciąż się tam leją, bo nie reaguje, nie pomaga muzułmanom, nie pożycza im samolotów i bombek. Czyli ja niby też. Bo my znowu w Europie. No, prawie. Pan też, drogi panie, o tobie też mówią. A pan może nie katolik? Bo ja tak, od urodzenia. Mówią, ile to zabitych, rannych, uciekających, głodujących, bez mieszkań, oczyszczonych etnicznie (to niby z czego?). A ja też nie dojadam, ale w telewizji się nie skarżę. Niech pan zgadnie, jaką mam emeryturę? No tak, na wcześniejszej jestem. Oj, przesadziłeś, synku. Trzy miliony dwieście. Starych, oczywiście. A za mieszkanie, ot, dwa nędzne pokoiki, ale z centralnym, płacę półtora miliona. A tu spółdzielnia już dwa pisemka mi przysłała, bym je wykupił na własność: a kuku! Właściwie, to im, tym wszystkim Jugolom, współczuję, wojna to wojna, trochę pamiętam jak to było u nas, w czterdziestym trzecim kilka razy partyzantom kartofle zanosilem, ojciec gadali: to jakieś podejrzone, chyba komunisty, ale jeść też muszą, zanieś, może nie spalą chałupy. No tak, Niemcy też mogli spalić, to prawda, w sąsiedniej wiosce spalili, nie powiem. Popatrz pan, tam w tej Jugosławii muzułmanowie walczą z prawosławnymi, katoliki z muzułmanami i prawosławnymi. Co nas to obchodzi! Co nie tak? Przecież w telewizji codziennie słyszę: muzułmański rząd Bośni, muzułmanie odparli atak wojsk serbskich. Muzułmanie to nasi bracia? Jacy to oni bracia Słowianie, daj pan spokój! Czy Słowianin może wierzyć w jakiegoś Mahometa? A może pan, przepraszam, że pytam, Żyd? Już oni się, Chorwaci z Serbami, dogadają, zapamiętaj pan moje słowa, a potem wszystkich muzułmanów wypędzą do Turcji, tam ich miejsce, tam niech się modlą w tych cudacznych kościołach, w których najważniejszy jest komin, na który wchodzi codziennie brodaty i zawodzi, widziałem w telewizji. Co nie tak? Widziałem i basta. A pan wiesz lepiej? Co mi tam książki, widziałem na własne oczy. Po co pchamy łapy między drzwi? Trzysta lat temu nasz wielki król pomógł Austriakom pobić Turków pod Wiedniem, a oni jak się sto lat później odwzięczyli? Pan szkolony, to pan wie: zabrali nam pół Polski. A może z Turkami jakoś byśmy się dogadali? A teraz co? Muzułmanowie będą miały własne państwo, a za sto lat podbiją Wiedeń, może i do nas przyjdą. Już tam w Paryżu, Londynie główki pracują: niech się powybijają, może będzie spokój przez sto lat. A ten nasz premier, no, ten taki ponury, co tam robił? Dolarami mu płacili, to pojechał, kamizelki kuloodporne i niebieskie helmy mu dawali, w

czołgach go wozili, a on potem pisał grube raporty, a w Genewie się śmiali, że on taki seriożny, panie kochany. No i się obraził, że pisze, pisze i nic z tego. Co mi tam jakieś Sarajewo, chcą się różnić, niech się różną. Co ja mogę zrobić? Pisać listy do ONZ-u? Czy mnie się ktoś spytał, co zrobić, by tam Jugole przestali się mordować? Ja, panie, to bym trzy bombki, atomowe, tak, atomowe, zrzucił: jedną na Sarajewo, drugą na Belgrad, trzecią na Zagrzeb i byłby spokój. Na wieku wieków, cha, cha, mój panie przemądrzały. Chodźmy, bo zaraz zacznie się dziennik, dowiemy się komu głowę urwało, a kogo tylko zraniło w rękę.  
(VIII/95)

## Bez przecinków

Kilka minut po pierwszej: połowa czerwca, piątek. Upalnie. Nie mogłem go nie zauważyć: klęczał na granitowej płycie przed główną bramą Hali Targowej „Piaś”, klęczał wyprostowany, ale ze spuszczoną głową, klęczał pobożnie jak ministrant, który nie śmie spojrzeć na monstrancję, klęczał w niebieskich dzinsach i czyściutkiej popielatej koszuli z krótkimi rękawami, on, jedenasto, może dwunastoletni. Obok kolan tekturowe pudełko po butach, w którym nie zobaczyłem ani monet, ani papierków. Natomiast obiema rękami trzymał na piersiach szary kartonik, na którym wyraźne małe litery (choć nieco większe niż w zeszyście):

**nie mamy co jeść mama  
szuka pracy tata nas  
opuścił proszę o pomoc  
bóg zapłać**

A gdzie duże litery, przecinki, kropka? Przystanąłem, przeczytałem i poszedłem dalej. Już ja się nie dam nabrać na plewy... Ile też dziś kosztują truskawki? A rzodkiewki? W barze mogę zjeść żurek staropolski na wędzonce. I chleb razowy kupić (tu kilkanaście gatunków). Czy nie braknie granatowych winogron z Kolumbii? Na pomarańcze i cytryny nie mogę już patrzeć! Gdzie ananasy? Są, są. A kielbasa z dzika? Jest, jest. A tam dalej kwiaty, wiązanki i wieńce pogrzebowe. Chodzę powoli, tylko oglądam i podziwiam, także piramidkowo ułożone owoce; i tak nie kupię dziś brzoskwiń z Izraela (może one z Cypru?). A tu obok truskawki spod Wrocławia. Za drogie, w moim kiosku tańsze. W którym to miejscu Ziutek (kiedyś niemal przyjaciel) sprzedawał pigwy? Tylko przez pół roku, bo klientów miał niewielu. Pytali o figi, a on ani świeżych, ani ucukrowanych nie miał (na pierwszym piętrze tanie figi bawelnianie – doradzał ponoć). I wcale tu nie śmierdzi stęchlizną, jak w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, po remoncie przyszła i Europa, i Afryka – powiedział mi niedawno znajomy, który dwa lata temu zwiedzał w

Holandii targowiska kryte i na wolnym powietrzu.

Za duszno, więc do domu, do schronu: nic nie kupiłem (tak, nic z owoców, jedynie połówkę razowiaka z miodem). A ministrant nadal klęczy, pudełko puste, na pewno chowa od razu papierki i monety do kieszeni. Obok niego kilka osób.

– Czemu on nie w szkole? Dopiero wpół do drugiej...

– Może chodzi na drugą zmianę, mój wnuczek chodzi na trzecią turę, mój panie...

– A jak wagaruje?

– Jak on pisze? Kto go uczy? Patrzcie, słowo Bóg napisał małą literą, to niedopuszczalne!

– Może to komuszek...

– Coś pan, za młody...

– Po ojcu, dzieci zostawił, to...

– A to co? Szuka pisze się przez u zamknięte...

– Gdzie tam! Dobrze napisał, tylko gdzie kropka na końcu zdania?

– Mnie pan będzie uczył? Moja córka skończyła polonistykę i zna samego profesora Miodka...

– Tego z telewizji?

– A jakże!

– Miodka czy Miodowicza?

– Ależ pan dowcipny! Kto tam pamięta tego ponuraka, którego Jaruzel chciał zrobić Wałęsą...

– Jaki Karuzel? Kto się wałęsa?

– Idź pani do laryngologa!

– Więcej kultury, szanowny panie... Podczas wojny to ja...

Chłopak nadal klęczy, a wokół niego już szesnaścioro, albo i więcej. Czy słyszy, co o nim mówią? A tu pudełko nadal puste.

– Dałbym mu pięćdziesiąt groszy, ale coś za dobrze ubrany. Nowa koszula i...

– On głodny, popatrz pan, jaki wychudzony...

– Wcale nie...

– Gdzie mieszkasz, chłopczyku?

– Na Popowicach – odpowiedział cicho i znowu patrzył na buty otaczających go kobiet i mężczyzn. Czy moje też podziwiał (wczoraj pastowałem)?

– O, profesor Miodek idzie do tramwaju – krzyknąłem. – A tam – pokazałem ręką na poklasztorny gmach Wydziału Filologicznego Uniwersytetu – wyklada...

– Trzeba go poprosić, niech powie, czy dobrze napisał. W telewizji mówi jak ksiądz... Nic nie rozumiem, ale mu wierzę.

– Ja tam nie oglądam, kłamia jak za komuny... I gołe baby pokazują, wstyd...

– A skąd pani wie, jak nie ogląda?

– Sąsiadka mi mówiła...

Nadjechała „siedemnastka”: gdzie profesor? Patrzymy, a tam nie ma faceta, który byłby podobny do telewizyjnego profesora. Może mi się przywidziało? Widziałem go kilka razy w telewizji. Mało to podobnych?

– To gdzie on?

– Pojechał...

– A ten szczył?

Rzeczywiście, nie ma chłopaka, nawet śladów na granitowej płycie. Trochę się ucieszyłem, bo za chwilę chciałem mu rzucić dwa złote: wahałem się, no tak, za dwa złote może kupić dwa bochenki, ale czy mnie się przelewa? Za dwójkę mógłbym sobie w sklepie kupić dwie butelki piwa, też jestem spragniony.

(95)

---

### Och, ten Józio...

Leżę spocony na metalowym łóżku polowym (prześcieradło pomięte, kołdra podwinięta), w pustym, białym pokoju, a przecież sypiam codziennie w szerokim, drewnianym łóżku, które zamiast sprężyn ma deski nieheblowane, sypiam na grubym materacu z pianki poliuretanowej, pod pierzyną z gęsiego puchu. Nie, już półleżę w rozpiętej od góry, nieco zabrudzonej (czym ja się tak pochlapałem? zupą pomidorową?) piżamie, a on w białej jak zawsze sutannie i złoto-czerwonym ornacie (w takim stroju widywałem go dotąd w telewizji, gdy pokazywał się na balkonie na placu św. Piotra), lecz bez piuski, nagle siada po lewej na białym krześle, twarzą do mnie, jak siadają odwiedzający chorych w szpitalu (znowu zachorowałem?). Nic nie mówi. Zaskoczony, że widzę go w tym pustym pokoju, łóżko na środku, nie rzucam się (przecież wciąż półleżę) do całowania pierścienia Rybaka, także i mojego (co prawda drugiego) patrona, a on bierze książkę, która leży na kołdrze. Coś bąkam, że się ubiorę, nie wiedziałem, że mnie odwiedzi, nie wiem, gdzie moje czyste koszule, gdzie spodnie, nie ma tu szafy, chyba stoi w sąsiednim pokoju. Ręką (prawą, prawą) daje mi znak, bym nie wstawał, mówi cicho, że on tylko na chwilę, ma mało czasu, naprawdę bardzo mało, został dziś zaproszony na bardzo ważne spotkanie, może najważniejsze w swoim życiu. Widzę, że okładka książki (skąd tu się wzięła? wcześniej jej na łóżku nie widziałem) kolorowa, lakierowana, dużo złota i czerwieni, jak na jego ornacie – nie, teraz ma stulę, też złocisto-czerwoną. Uśmiecha się i widzę, że znowu jest przyjacielski, jak kilkanaście lat temu, gdy zrezygnował z lektyki (hm, teraz by mu się przydała – mnie też) i nie bał się zamachowców. Przygląda się uważnie karcie tytułowej.

– Och, ten Józio, już drugą książkę mi dedykował...



Wymienia czule skrócone nazwisko, właściwie przydomek, którym i ja tak Józia nazywam. I to wie?

– Powiem ci, synu, nie, nie wstawaj, że ta powieść o świętym Pawle i mnie wzruszyła, powiedz mu, wszak to twój...

Nie skończył: jaka druga? Przecież nie ma dedykacji na powieści o Paulusie, Józio miał taki zamiar, sam mi o tym wspominał, ale potem zrezygnował, muszę to zaraz sprawdzić. Gdzie jest mój pokój? Co jeszcze gość powiedział? Gdzie on jest? Gdzie ja jestem? Może wcale nie śnię, może leżę w poczekalni, czekam aż zastaną wywołane wszystkie moje trzy imiona.

(95)

---

### Trzynaście zdań rozwiniętych (całkowicie przypadkowych)

1. Nie czytać gazet, nie słuchać radia, nie oglądać telewizji, nie odwiedzać znajomych, nie dyskutować z nieznanymi o polityce, nie patrzeć na gwiazdy: po prostu po długiej, nocnej podróży pociągiem osobowym przespać się w dzień, śnić jeszcze raz, że jestem tam, tam właśnie gdzie nie pojadę nigdy, na przykład na Madagaskar (to nie ja krzychałem wczoraj: Żydzi na Madagaskar!).

2. Chłodnik litewski (kwas buraczany, kwaśne mleko i śmietana, zielona pietruszka, koperek, czerwona papryka, ogórek, jajko na twardo) właśnie teraz, w lipcu, gdy boję się wyjść z domu, bo nie wiem, czy jestem we Wrocławiu, czy może w Dubrowniku (nie, chyba nie tam: nie słyszę wystrzałów z moździerzy), uff – upały śródziemnomorskie, właśnie teraz najsmaczniejszy: nie zaprzeczam, że Litwa nigdy nie była i nie będzie ojczyzną moją.

3. Och, Bruno, już dawno mi się nie przyśniłeś, a wciąż nie wiem, czy ty, który tak lubiłeś się kąpać w Wiśle, w Bałtyku, także w jeziorach (nawet we Wrocławiu, dopiero po jednym kuflu kiepskiego piwa, chciałeś popływać w Odrze obok mostu Trzebnickiego i zachęcałeś do zawodów Rafała Wojaczka, który wyśmiał twoją propozycję: syfa chcesz złapać?, tego dnia nawet piwa nie chciał z tobą wypić – nagle otrzeźwiałeś, ty, który powtarzałeś często za francuskim poetą, że trzeba być zawsze pijanym), czy ty, który w majowy, upalny dzień wskoczyłeś do jeziora rynnowego i już o własnych siłach nie dopłynąłeś do brzegu, czy ty tam też się kąpiesz w skarpetkach?

4. Te lipy szerokolistne, posadzone prawie dwadzieścia lat temu, na pewno czują się rozżalone: jakże miodnie pachną, a pszczoły tu nie przylatują, nie mogą zasumieć: *Gościu, siądź pod mym liściem*, bo nie ma ławek, wokoło bloki, asfalty, granity i groźne automobile, więc nawet nikt nie zrywa kwiatów, by w zimie poczęstować mnie lipówką z sokiem malinowym i miodem.

5. Widziałem ją z tramwaju: to zapewne nie ona, lecz jej babcia, bo tamta była kiedyś taka szczuplutka, jasnowłosa, uśmiechająca się do mnie pogardliwie, jakbym był dziadem proszalnym, a teraz musi udawać swoją babcie, wcale mi jej nie żal, wówczas chciała zostać aktorką filmową, nareszcie jej się udało, choć nikt nie

nagrywa, nie klaszcze, nie podziwia, tylko ja przesyłam jej telepatyczne życzenia, by mogła po skończeniu wymaganych przeze mnie nagrań zdjąć perukę, zrzucić trzydzieści kilogramów i staromodny płaszczyk i znowu naigrywać się ze mnie, jak trzydzieści parę lat temu, gdy gapilem się bezczelnie na jej wyzywające (tak, tak) piersi, które pieścił ktoś inny: ot, masz babo placek, to nie Jacek, to ja cię poznaję, to ty, oczywiście.

6. Homer wydaje mi się równie nierzeczywisty jak opiewani przezeń herosi: wszyscy przebywają gdzieś daleko, gdzie nawet imiona nic nie znaczą, tylko kamienie pozostały tak samo twarde jak wtedy, gdy siadywał na nich i Odys, i Hektor, i pewien ślepiec, o którym naprawdę nie wiadomo, czy kiedykolwiek się narodził, choć byli tacy, którzy ponad dwa tysiąclecia temu pokazywali podróżnym jego grób.

7. Jakże bym się chciał dowiedzieć, co porabia wnuczka kobiety, wówczas już chyba sześćdziesięcioletniej, która we wrześniu 1962 roku codziennie zbierała w parku Zdrojowym w Nałęczowie, nad rzeczką i stawem, łabędzie pióra: ciekawskim chętnie się zwierzała, że to na koldrę dla wnusi, Joasi, która ma już piętnaście lat i jak wyjdzie za mąż, to od babci dostanie koldrę z łabędziego puchu, będzie sobie spała jak prawdziwa dziedziczka, choć teraz mieszka pod słomianą strzechą.

8. Nie patrz mi w oczy, mówi, nic nie zobaczysz, to tylko senność: jechałam całą noc, siedziałam na korytarzu na walizce w środku wagonu, chciało mi się siku, a nie mogłam się przepchać do ubikacji, byłam uwięziona, nie mogłam się ruszyć ani do przodu pociągu, gdzie wagon restauracyjny, ani do tyłu, gdzie ubikacja, w której ktoś śpiewał nad ranem piosenkę o koniku cisawym.

9. Kiedyś widziałem gołębia przejechanego przez samochód, potem rozjeżdżanego, walcowanego przez wiele dni, aż prawie wchłonął go asfalt, tylko kilka piórek wciąż wystawało, a wczoraj zobaczyłem (w innym miejscu) cukierek w kolorowym papierku, też przejechany przez auto, ani jedno dziecko się nie schyliło, by go podnieść, może wciąż nadawał się do zjedzenia, a może tylko do pochowania w piaskownicy.

10. Nie płacz, w tym roku na pewno nie umrzesz, karty mówią, że jeszcze pożyjesz, co najmniej kilka lat, a potem kupię nową talię i się zobaczy, co ci pisane.

11. Zgól brodę, bo cię wezmą za studenta i pobiją – radził mi ojciec wiosną 1968 roku, gdy przyjechałem do domu rodzinnego, a po obiedzie wybierałem się autobusem do Gliwic, by odwiedzić przebywającą w szpitalu siostrę.

12. Nigdy nie marzyłem, by zdobyć Mont Everest, by postawić but na Mont Blanc (nie zaprzeczam, że widziałem białe czapy czekając na autobus na placu Narodów w Genewie), chciałbym tylko popatrzeć ze Śnieżki i w kierunku Wrocławia, i w kierunku Pragi, nic więcej, tylko podivat se, jak tysiące, tysiące turystów, choć nim nie jestem, tylko skromnym podróżnym idącym prosto do piekła, jak mi szczerze powiedzieli kilkanaście lat temu dwaj butni kapucyni, zbierający datki na głodujące dzieci w Afryce.

(ed. na s. 49)

## Tysiąc pierdolek o sadzeniu grochu (1)

Chyba się nieco pośpieszyłem podając w *Stacji metra* tytuł przygotowanego zbioru próz. Raczej nie należą do tych, którzy zanudzają znajomych i rodzinę nowymi pomysłami i tytułami, którzy czytają im fragmenty i czekają na oklaski. Dzieła należy pisać, a nie opowiadać – takie jest moje prywatne przesłanie. Natomiast uznałem, że należy już teraz upublicznić (czyli niejako opatentować) tytuł, z którego jestem (nie ukrywam) wielce zadowolony. Tytuł to i żartobliwy, i ironiczny, i mający drażnić ciocie na imieninach... Mickiewicz pokpiwał sobie (a może im zazdrościł?) z warszawskich literatów, iż opiewają *tysiąc wierszy o sadzeniu grochu*. Oczywiście, tysiąc wierszy, czyli tysiąc wersów/linijek. A ja pomyślałem o małych tekstach, o małych jak groch zdarzeniach, przygodach, przemyśleniach itd. O tysiącu! Właśnie takich, o których mówi się potocznie: to takie pierdolki. Czyli: będą to opowiadanka, wspominki i eseiki. Wieszczy Adam niewątpliwie był przekonany, że są tematy wielkie i małe, że pisanie o sadzeniu grochu jest mniej ważne niż o sprawach narodowych (chyba jednak nie całkiem, bo pisał również o bógorkach – któż nie pamięta: *Ogórków chcesz Waść...*). Pod koniec XX w. wiemy, że nie ma wielkich i małych tematów, że dopiero gotowy tekst może być wielki albo mały, że także czytelnik stwarza dzieło, że autor może pisać dla dwunastu i wcale nie musi się przejmować, czy będzie go czytać stu dwudziestu, czy dwanaście milionów...

Po ujawnieniu w lutym 1994 r. nowego tytułu dostałem kilka listów. Przytoczę kilka zdań, które być może powinienem czytać cudzysłowowo, ale przyjmuję, że to słowa serio, a których autorem jest jeden z najwybitniejszych badaczy literatury polskiej (więcej nie powiem: nie chciałbym być posądzony o to, że podpieram się wielkimi nazwiskami i to bez ich zgody): *Ogromnie jestem ciekaw, co to będzie „Tysiąc pierdolek o sadzeniu grochu”. Już teraz widzę, że tytuł wspaniały, pierwsze takie w dziejach, jak myślę, połączenie Wieszcza z potocznością daleko posuniętą. W Warszawie wszystkie wyrazy o tym źródłosłowie mają zabarwienie wulgarne, ale – jak mi ktoś perswadował – w Poznańskim nie i tam są salonsfähig. Dodam: nie tylko w Poznańskim, lecz także w Krakowskim i na Górnym Śląsku. W literaturze staropolskiej (a współcześnie w gwarach), „pierdolić” to „gadać głupstwa, byle co”, natomiast w polszczyźnie potocznej jest to słowo niewątpliwie wulgarne (= „mieć stosunek płciowy”, jak czytamy w słowniku). Ale i pierwotne, staropolskie, znaczenie żywe jest w wielu regionach (np. pierdolka, pierdoła, nie pierdol). Oczywiście, czasem tylko na ulicy. Może i w salonach, ale tam nie bywam. Wyobrażam sobie minę warszawskiego knajaka, gdyby publiczne usłyszał na Górnym Śląsku od dziewczyny takie oto słowa: pierdol, pierdol, jo sie zdrzymna, a to niewinny zwrot, po prostu: nie gadaj głupot (albo: nie bujaj)...*

Natomiast jeden z recenzentów *Stacji metra* obwieścił: *»Calaść« da się rozbić na tysiąc pierdolek, a czy możliwe jest odwrócenie tego procesu? Wątpię. Czy nigdy nie słyszał o mozaice, która składa się np. z tysiąca kamyków polnych? Dziś przecież nawet ja (a co dopiero osoba znająca jedynie tytuł) nie wiem, czy powstające dzieło będzie (gdy zostanie za kilka lat ukończone – a czy zostanie skończone, też dziś nie wiadomo) arcydziełem, czy też księgą-purchase. Czyli: być może każdy groszek przemieni się w brylant, albo też – jak mówi się na Górnym Śląsku – w psińco. Kto to wie? Ja nie...*

1. Ołówku z Pruszkowa, ołówku czeski z fabryki „Koh-i-noor” w Pradze, ołówku chiński „Teintan” z Harbinu, z gumką, którą stwardniała i wcale mi się nie przydaje, ołówku chiński „Hero”, ołówki HB, ołówki, których nazw nie pamiętam, maszyna do pisania „Optima”, wyprodukowana trzydzieści parę lat temu przez fabrykę nieistniejącego już dziś państwa, maszyna do pisania „Erika”, do której nie mogę się przyzwyczaić, więc rzadko na niej stukam, długopisie niebieski, długopisie czarny, pióro wieczne z chińską stalówką, którego nie lubię używać, bo potem mam zawsze poplamione palce, koreańskie pióro kulkowe, cienkopisie amerykański, flamastrcę polski, komputerze z drukarką laserową (niech by tylko atramentową), którego wciąż nie ma na moim biurku – pozdrawiam was i uprzejmie, i szorstko, i uniżenie: nie czekajcie na pochlebstwa, nie płaczcie, jeśli będzie ubywać grafitu, tuszu i atramentu, jeśli będą się łamać czcionki w maszynie do pisania, jeśli będę was wyzywał od leniuchów i darmożjadów, od cip i ciulów, nie buntujcie się, powędrujemy daleko, może nawet do Chin, by pospacerować po Wielkim Murze, może do Peru, by szukać zaginionych skarbów Inków, może tylko nad rzeczkę Dramę o praindoeuropejskiej etymologii, której jednak nie szukajcie na mapach Bałkanów, lecz Górnego Śląska, nie czekajcie na wypłatę, bo może w ogóle jej nie będzie, któż zapłaci talarami, dukatami i dolarami za pierdołki, za głupotki, ot, za trociny, którymi można co prawda palić w szwedzkim piecu, nie tylko w żelaznioku, lecz z których nie robi się stołu, samochodu i rakiety międzyplanetarnej, tylko ja was potrzebuję, dziś, jutro i pojutrze, to ja was będę używał w dzień, bezwstydnie, przy rozsuniętych zasłonach, nigdy w nocy, nie boję się podglądaczy, co mi tam, siedzę sobie przy własnym biurku, trochę się już chwiejącym, ale wciąż jeszcze pewnym, tak, ołówku, długopisie, maszyna do pisania, wzywam was. Właśnie dziś wyruszamy: przed siebie i za siebie.

(94)

5. Jak to dobrze mieć mieszkanie z balkonem... I to na pierwszym piętrze. Z widokiem na sąsiedni, nieco zaniedbany, jeszcze sprzed pierwszej wojny, budynek komunalny. I na skwer między domami (po prawej również dziesięciopiętrowiec): rosną tu przedwojenne dęby (dwa), powojenne klony (trzy) i kilkunastoletnie platany klonolistne (dwa). I jedna jarzębina (może to kalina?), nieco pochylona. Ot, siedzę sobie w cieniu, na starym krześle, po trzeciej słońce już tu nie dochodzi. Ktoś siedzi na ławce, ktoś jedzie rowerem, jakiś samochód przejeżdża wewnętrzną ulicą pod komunalnym blokiem. I mogę słuchać równocześnie kilkunastu rozgłośni radiowych. Już nie zazdrozczę bohaterowi wiersza Federico Garcia Lorki, który na pożegnanie prosi:

**Kiedy będę umierał,  
otwórzcie drzwi od balkonu.  
Chłopiec je pomarańczę,  
(Widzę to z balkonu.)**

Gdy czytałem te zdania po raz pierwszy, w 1958 roku, w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego, w żółtej książeczce w celofanowej obwolutie (teraz okładka podniszczona, celofan gdzieś przepadł), nie mogłem sobie wyobrazić siebie siedzącego na balkonie, patrzącego na chłopca jedzącego pomarańczę. Pomarańcze jadłem kilka razy, chyba jedynie podczas Świąt Bożego Narodzenia. Czy w ogóle kiedykolwiek

siedziałem na balkonie w jakimś domu? To ja siedzę na balkonie i patrzę, jak chłopiec je pomarańczę? U nas? Tak, zbudowano balkon i dla mnie: przedszkolaczka na ławce pod balkonem je pomarańczę. Tylko trawnik rzadko koszony: nikt tu nie urządza śniadań, niekiedy dzieci opalają się na kocu. Siedzę i słucham głosów dzieci i dorosłych. I telefonicznych dzwonek. A dziś najpierw ostre, męskie głosy słyszę, bo drzewa zasłaniają postacie, potem widzę tego, który prowadzi rower (no, no – górski: nigdy takim nie jechałem i nie pojedę po karkonoskich drogach):

– Co się czepiasz...

– Za młody jesteś, żebyś mi mówił ty...

– Spierdalaj!

– Ty spierdalaj...

Kiedy będę umierał, zamknijcie drzwi od balkonu.

7. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy? I czy stał tam jeden, czy też dwa? Chyba dwa, choć ten niższy już wówczas nie miał skrzydeł. Wówczas, czyli w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, gdy jechałem do Żagania, do brata, który służył w wojskach pancernych i nawet dziś lubi oglądać „Czterech pancernych i psa”. Jechałem i gapilem się na prawo i lewo. To wiatraki są takie wysokie jak domy jednopiętrowe? I tak pozostało: patrzę na niego zawsze z pociągu. Już chyba ponad dwieście razy go podziwiałem: wciąż stoi, więc jedźmy dalej. Ten większy (tak mi się wydawało) w całkiem przyzwoitym stanie, choć nigdy nie widziałem, by skrzydła się poruszały. Stoi trochę wyżej niż tory kolejowe, a obok parterowy budynek z dużym napisem: PIEKARNIA. Czy mąka z tego właśnie młyna? Chyba nie. Kiedy zniknął ten niższy? Chyba pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy wybudowano obok dom dwupiętrowy. A skrzydła? Chyba jeszcze na początku lat siedemdziesiątych widywałem dwa ramiona (i kawałek trzeciego), ale nie będę się zakładał o sto dolarów, kiedy je ostatni raz widziałem. To były (i są) krótkie chwile: pociąg z Gliwic zatrzymuje się na stacji CHRÓSCINA OPOLSKA na trzydzieści parę sekund (kilka razy sprawdziłem: mam przecież zegarek „Wostok”) i zaraz po prawej ukazuje się wiatrak bez skrzydeł; z pociągu (a tylko z jadącego pociągu go podziwiałem) nie mogę dostrzec – co też napisano na czerwonej tablicy, chyba to samo, co na wiatraku (również bez skrzydeł) Staszka Pasternaka w Lutyni pod Wrocławiem: obiekt wpisany do rejestru zabytków. Pociąg przyspiesza, muszę odwrócić głowę w prawo, by się upewnić, że stoi nadal. Gdy jadę z Wrocławia, muszę głowę odwracać w lewo, pociąg hamuje: mogę popatrzeć jeszcze raz, choć może kiedyś wysiądę tu i zobaczę wiatrak z bliska. Co tam w środku? Jakie zapachy? A deski sosnowe? Czy dębowe? To chyba koźlak: zdjęcie podobnego wiatraka można zobaczyć w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* (t. 12, s. 234). Jak długo jeszcze postoji? Obok piekarni kolejny nowy dom z dumnym szyldem: HURTOWNIA. Ot, któregoś dnia zapewne nieznani osobnicy po prostu go podpala, przecież w tym miejscu można postawić wilijkę, albo magazyn, a w drewnianym wiatraku nawet grzyby nie chcą rosnąć: za dużo karbolu w deskach i belkach. A zresztą: po co komu wiatrak bez skrzydeł?

9. Sklep znajduje się w budynku naprzeciwko. Na parterze. Niemal codziennie od prawie dwudziestu lat przechodzę tędy i zawsze zerkam na dwie witryny (po prawej i

lewej stronie drzwi). Co tam widywałem? Kiedyś przede wszystkim zrolowane tkaniny, skarpetki, majtki (co najmniej kilka, a czasem kilkanaście fasonów i kolorów) i biustonosze (wówczas jeszcze nie ukazywały się w gazetach ogłoszenia: *blondyneczka – biust piąteczka*), niekiedy kurtki, płaszcze, proszki do prania. Nad witryną duży napis: BOMIS – sklep. Co to znaczy? – nie wiedziałem, nawet nie byłem ciekawy, czy to skrót, czy też nazwa własna, i tak było wiadomo, że to sklep, w którym można było kupić nie sprzedane gdzie indziej resztówki, końcówki, posezonowe buble, sprowadzane z magazynów państwowych i spółdzielczych, także wojskowych. Dopiero niedawno, wertując książkę telefoniczną sprzed kilkunastu lat, przypadkowo odkryłem, że BOMIS to Biuro Obrotu Maszynami i Surowcami. Hm, hm. Po 1981 roku był to jeden z najczęściej odwiedzanych w mieście sklepów: za pół ceny można było niekiedy kupić bawelniane kalesony (kupiłem sobie od razu trzy pary: po prostu przechodziłem i podsłuchałem, że właśnie je przywieziono), podkolanówki, proszki do prania, a przede wszystkim kolorowe materiały na letnie sukienki. Kilka lat temu szyld zniknął, także tamte naburmuszone sprzedawczynie. Teraz sprzedają w nim mężczyzna i kobieta, po czterdziestce, nie wiem, czy są małżeństwem, ale zachowują się tak, jakby mieli co najmniej ślub cywilny (jakaś kobiecina przy kiosku warzywnym meldowała drugiej babci, że oni żyją na kocią łapę – mało mnie to obchodzi). Nadal na wystawie skarpetki, majtki, płaszcze, ale także kurtki lotników, wojskowe chlebaki, namioty, kolorowe szaliki klubów piłkarskich. W witrynie mniejszej nie tylko spodnie khaki, także moro, lecz przede wszystkim – manierki, furazerki, menażki, latarki, noże, blaszki identyfikacyjne, kompasy. Na helmie karteczka: z *magazynów U.S. Army w Niemczech*. Pewnego dnia zauważyłem błyszczący niezbędnik, który chciałem natychmiast kupić, ale nie miałem akurat przy sobie pieniędzy; wcale nie był drogi, kosztował tylko tyle, co pół litra wódki. Miałem go w rękach: oto łyżka i widelec, nóż i otwieracz. Z nierdzewnej stali. Lekki. Ważyłem go w lewej dłoni: zmieściłby się w mojej zielonej torbie wędkarskiej. A gdzie ja wyjeżdżam? Ot, kilka razy w roku na uroczystości rodzinne, nie muszę wcale brać niezbędnika, raz w roku do Jeleniej Góry, na kilka dni, a stamtąd na kilka godzin do Przesieki, albo do Cieplic. Czy niezbędnik jest mi potrzebny niezbędnik? Teraz żałuję – od wielu miesięcy w sklepie brak niezbędników, mogę za to kupić sobie żandarmskie kajdanki. I ćwierćmetrowy sztylet z czarną, plastikową rękojeścią, także amerykański. To nie sztylet, poprawia mnie sprzedawca, to nóż polskich komandosów.

Nie plan,  
 drogi cyfelniku,  
 ciągniesz wkrótce...  
 Do tydzień jesz daleko!

## Przed bramą

(19 lipca 1994, wtorek)

No tak, ponieważ to i moja wina: przyjechaliśmy za późno.

Trzeba było pojechać na cmentarz zaraz po zjedzeniu obiadu (gulasz, knedliki i smażona kapusta, małe piwo wielkopowowickie) w barze samoobsługowym „Lucerna”, mieszczącym się w zespole budynków należących do rodziny Prezydenta Republiki (zartowałem, że prezydent Vašek dostaje od każdego wypitego przez gości kufla co najmniej dwa halerze), ale powiedziałem H., że chyba – wszak to lipiec – brama otwarta co najmniej do szóstej, albo nawet do siódmej, więc nie musimy się spieszyć. Ot, pochodzimy po Vaclavaku, potem pójdziemy ulicą Na příkopě (Franz K. pisał: Am Graben) do placu Republiki, stamtąd pojedziemy tramwajem. No tak, H. mógł wygodnie pojechać metrem ze stacji „Muzeum” do stacji „Želivského”, to tylko kilka minut i za te same korony, ja natomiast na peron metra ruchomymi (nazbyt pośpieszonymi) schodami nie zjadę. Co tam, mamy czas, dopiero kwadrans po czwartej. Poczekaj chwilę (która jednak trwała kilkanaście minut), mówi H., skoczę do sklepu, muszę kupić rogaliki i coś do jedzenia. Gdy tramwaj dojeżdżał do przystanku przy stacji metra „Franz Kafka”, zobaczyłem, że lewa brama wciąż otwarta (akurat wychodziła kobieta).

W bufecie, tuż nad stacją metra, napilem się dżusu, a potem H. zażył sobie kawki. Była gorąca, więc tak z kubkiem w prawej ręce doszedł do bramy. Za długo szliśmy od przystanku do bramy: mężczyzna przed dwudziestką, w czarnej jarmulce, mówi, że cmentarz otwarty do piątej, a już cztery minuty po siedemnastej. On po czesku, H. po polsku, ja pół po czesku, pół po polsku:

– My na chwilę, na pięć minut...

– Už zavřeno...

– My tylko chcemy zobaczyć grób Franza Kafki. Położył kamyczek...

– Jutro cmentarz otwarty od dziesiątej...

– My z zagranicy...

– To przyjdźcie jak będziecie następnym razem w Pradze...

H. wciąż trzyma kubek z kawą, łyka, gdy mówię. H. błagalnie:

– Może jednak nas pan wpuści, widzi pan, kolega ma kłopoty z nogami...

– Nie mogę, takie zarządzenie: cmentarz otwarty do piątej.

– Może wyjątkowo, na pięć minut, tylko popatrzymy...

– Niech pan podejdzie sto metrów, tam może się pan wspiąć na mur, stamtąd dobrze widać grób

Kafki...

– Co pan mówi, mur ma prawie dwa metry...

– Jeszcze stoi pan przy bramie...

– Czekam aż wszyscy wyjdą...

Już nie pamiętam, co powiedziałem młodemu odźwiernemu, bo nagle pobiegł do starszego mężczyzny i coś szeptał mu do ucha. Tamten podszedł do bramy i ostro do nas, że mamy przyjść jutro i już.

– Jutro będziemy we Wiedniu...

– To kiedy indziej. Mamy zarządzenie: tylko do piątej. Umie pan czytać? Patrz pan tam...

I wtedy mi się wyrwało (aż H. się zdziwił):

– Niedobre Żydy, niedobre, nie chcą wpuścić Żydów na grób Żyda...

– Dziś zamknięty, jutro od...

– Opiszemy to w gazecie, cały świat się dowie, że nie chcieliście nas wpuścić...

– A piszcie, co mi tam Kafka, ja mam zarządzenie, na shledanou!

Potem H. mówił, że może trzeba było od razu dać w łapę dwadzieścia koron, to by nas wpuszczono, a ja że po co z kawą pchał się na kirkut. Tak, chyba nie mogli nas wpuścić: naprawdę spóźniliśmy się aż pięć minut.

## Obrazy i rzeźby Leopolda Buczkowskiego jednak w Splicie

Kilka lat temu opublikował Jerzy Łukosz w *Twórczości* (a potem przedrukował w *Bycie bytującym*, Wr. 1994, s. 57) znamienne zdania: *A tak Buczkowski jako pisarz nie ma domu, ani u nas, ani nigdzie na świecie*. Chyba tylko ostatnia część zdania jest prawdziwa: Buczkowski – pisarz ma w Polsce solidny DOM, choć otoczony jest stylizowanymi zameczkami i modnymi willami, które po latach (mimo kosztownych konserwacji) same się rozpadną. Niestety, nie powstała Fundacja Leopolda Buczkowskiego (por. *Prz.* 1, 14), która miała się zająć konserwacją i przechowaniem dzieł plastycznych swego patrona. Ani Ministerstwo Kultury, ani inne instytucje (m.in. fundacje kultury, których u nas legion) nie pomogły wykupić domu w Konstancinie, w którym pisarz tworzył prawie 40 lat, a który mógłby się stać domem – muzeum, ani też w inny sposób zabezpieczyć spuściznę plastyczną. Niedawno dostałem widokówkę od syna pisarza, Tadeusza Buczkowskiego (datownik: Split, 21 VIII 95): (...) *po wielu rzeczpospolito-konstancińsko-podróżniczych perypetiach dotarliśmy ponad miesiąc temu do Splitu. Tutaj złożyłem całą spuściznę po Ojcu – niesamowity dorobek, który mógłby zapęłnić kilka muzeów. Podkamień, Lwów, Warszawa, Kraków, Konstancin, Split. Kultureria górą. A może w mieście, które cesarz Dioklecjan, po dobrowolnej abdykacji w 305 r. wybrał na emerytalne lata (zmarł w 316 r.), mają BUCZKOWSKIANĄ większe szanse przetrwania (co prawda na Bałkanach wciąż wojna, lecz Republika Hrvatska już integralna) niż w Polsce?*

Dodam: nie wszystkie dzieła plastyczne Buczkowskiego nad Adriatykiem. Oto rysunek (czarnym flamastrem) i autokomentarz – z *Księgi autografów* (s. 80-81).

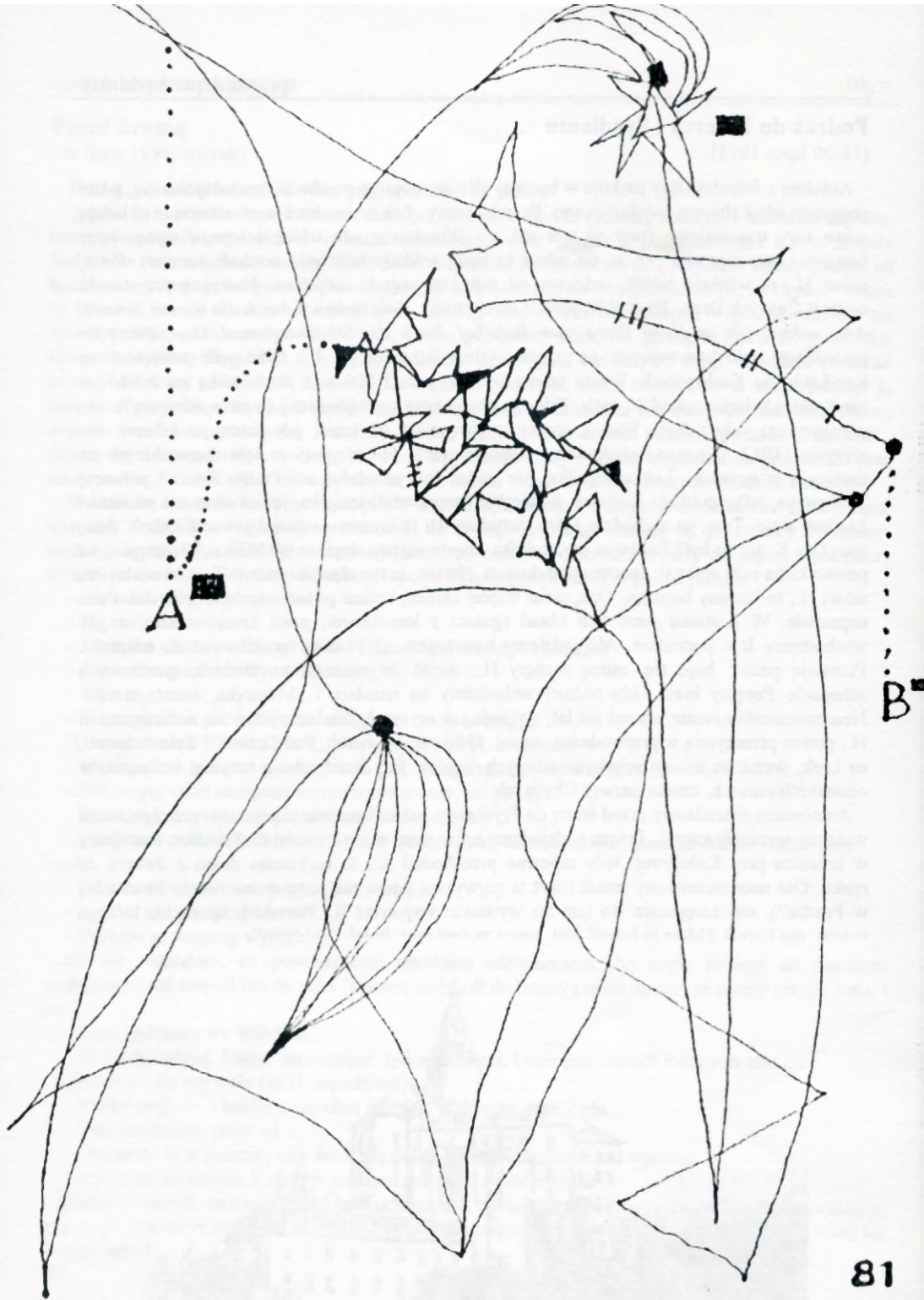
-PRZECIĄGANIE SIĘ SIĘ ESTETYKI-  
 I TO ZDANIE  
 JEST PRZECIĄGANIEM SIĘ W SIĘ,  
 W SIEBIE, W SIEBIERNOŚĆ,  
 W SIĘ SIEĆ... W TO A, W TO B...

UCZEŃ KABALISTYKI:

*L. Muci*

15.8.1981 r.



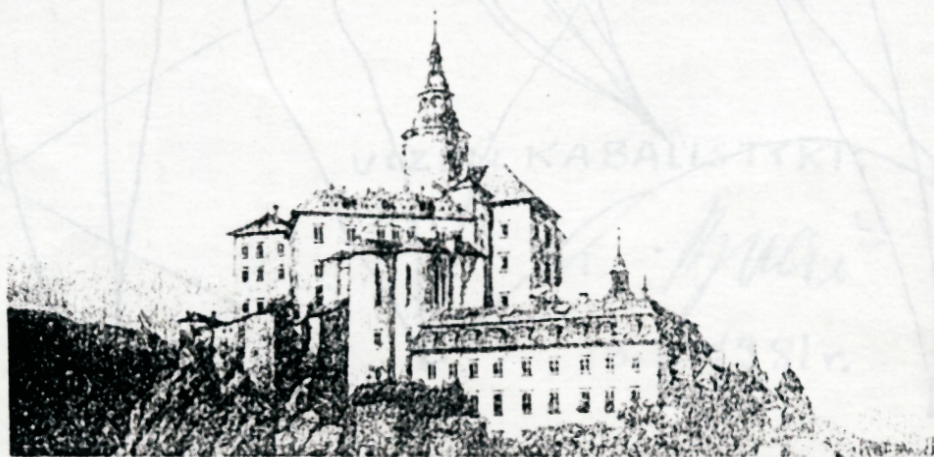


## Podróż do Liberca i Frýdlantu

(18-20 lipca 1995)

Autobus z Jeleniej Góry parkuje w bocznej uliczce, dopiero po chwili dowiadujemy się, gdzie jesteśmy: obok dworca autobusowego. Przechodzimy obok wykopów i szyn: robotnicy układają nowe tory tramwajowe (tory węższe niż we Wrocławiu, ale widzę i trzecią szynę, teraz bezużyteczną: zapewne przyda się gdy i tu będą jeździły tramwaje normalnotorowe). Patrz, mówi H., to właśnie Ještěd, jedziemy od razu, bo pogoda niepewna. Następny przystanek: nadraží Českých Drah. To stąd K. jeździł do centrum: *Vom Bahnhof durch die Wiener Strasse, dort wohnte ich im Hotel Eiche, zum Bahnhof durch die Schükkerstrasse*. Dojeżdżamy do prawdziwej pętli tramwajowej: na przedmieściu tylko jeden tor. I ja takie pętle pamiętam: na Krzykach, na Karlowicach. Potem trzeba podejść ponad 500 m i już lanovka na Ještěd: w zamkniętej kabinie ponad 30 osób. Tylko ja chyba boję się najbardziej (a jak spadniemy?): oto pierwszy raz jadę kolejką linową, trochę w głowie mi się kręci, gdy patrzę na Liberec. Na szczycie (1012 m n.p.m.) obchodzimy dookoła wieżę telewizyjną: w dole domeczki jak na makiecie w muzeum. Lekka mgielka: nie widać (na południu) ani Prahy, ani (na północy) Turoszowa, tylko pobliski Jablonec, niebieskie (naprawdę!) jeziora, jakieś nieznanne mi nawet z nazwy wsie. Tam, na zachodzie, Góry Łużyckie. To je krasne – mówi dziewczeczka obok. Ano, ano. Czy K. też tu był? Zapewne nie: kolejka linowa czynna dopiero od 1933 r., ale na górę na pewno kilka razy zerknął, choćby spod dworca. No tak, to nie alpejski szczyt. Tam Vratislavice, mówi H., to kominy browaru. Och, coraz więcej chmur, będzie padać – zjeżdżamy w dół. Pada naprawdę. W hostincu jemy tani obiad (gulasz z knedlikami, piwo kruszowickie), a gdy wychodzimy leje porządnie. Ale jedziemy tramwajem „3”: wciąż w dół – aż do muzeum. Przystaje padać: boję się, mimo zachęty H., wejść do muzeum po śliskich, granitowych schodach. Poręczy brak. Gdy później wchodzimy na namęsti T. Masaryka, świeci słońko. Neorenesansowy ratusz, sprzed stu lat, wygląda jak oryginał. Wielu turystów się nabiera, mówi H., potem przeczytają w przewodniku, że to... Gdzie tu był hotel „Pod Dębem”? Tyle tu hoteli, co krok, wszak to miasto międzynarodowych targów. Czy Reichenberg też miał wówczas, w cesarskich czasach, czeską nazwę? Chyba tak.

Autobusem dojeżdżamy przed ósmą do Frýdlantu: już kilkanaście kilometrów przed miastem widzimy wyniosły zamek. Potem podziwiamy najwyższą wieżę z mostu na Smědzie. Nocujemy w hoteliku przy Kolejowej: tędy zapewne przechodził K., to najkrótsza droga z dworca do rynku. Oto neorenesansowy ratusz (czyż ta najwyższa wieża nie przypomina Bramy Prochowej w Pradze?), oto księgarnia (to tam na wystawie wypatrzył K. **Poradnik literacki**, którego jednak nie kupił). Gdzie tu hotel? Jest *nico* za rynkiem *hotel Valdětín*”



Czy tam mieszkał? A może tu, w zajezdzie „Bílý kuň”? Po śniadaniu przybywamy na ZAMEK. Rzeczywiście: potężny, zachowany w dobrym stanie, można zwiedzać z przewodnikiem. Zostają na dziedzińcu (schody za strone), obok spiżowego pomnika generalissimusa Wallensteina, księcia Frydlantu od 1624 r. H. opowiada mi potem, co widział (on tu po raz kolejny): wnętrza zachowane w świetnym stanie, jakby wczoraj opuścili je właściciele, potężna biblioteka, piękna kaplica, która składa się z części katolickiej i protestanckiej, dziesiątki sal (jedna z nich, z fajkami, budzi największe zaciekawienie czeskich turystów). I ja oglądam kuchnię na parterze: garnki, rondle miedziane, łyżki, tylko kucharzy brak. Ostatni właściciele – rodzina Clam-Gallasów – wyjechali stąd w 1945 r. Rudá armáda tu nie dotarła i zamek nie został splądrowany. To teraz: Státní hrad a zámek Frydlant. Jakie solidne mury! Tak, K. po prostu zamkiem się zachwycił: *Das Schloss im Friedland. Die vielen Möglichkeiten, es zu sehen: aus der Ebene, von einer Brücke aus, aus dem Park, zwischen entlaubten Bäumen, aus dem Wald zwischen grossen Tannen durch.* Wiele lat później napisał: *Herr Klamm ist ein Herr aus dem Schloss...*

W gospodzie, tuż przy naměsti T. Masaryka, jemy obiad (čočková, czyli soczewicowa, knedliki, pieczeń rzymska, piwo „Vratislav”). W sali obiadowej tylko kilka osób, za to w pierwszej – piwnej – gwar. Co by się stało, gdyby nagle wszedł tu geometra K. i chciał zadzwonić do zamku. Czy jest tu telefon? Jest obok mosiężnego szynkwasu. Nie zostałem geometrą prawie czterdzieści lat temu, teraz jest już za późno; gdy w 1958 r. przeczytałem po raz pierwszy *Zamek*, to miałem wspaniałe usprawiedliwienie: zawsze są kłopoty z pomocnikami, niestety.

PS. Celowo cytuję Franza Kafkę po niemiecku (*Tagebuch einer Reise nach Friedland und Reichenberg. Januar, Februar 1911, w: Tagebücher 1910-1923*). Por. *Dziennik z podróży do Friedlandu i Reichenbergu. Styczeń-luty 1911, w: Dzienniki* (w edycji polskiej brak czeskich nazw miast – w każdym razie w moim wydaniu z 1961 r.). Obok – zamek Frydlant (wg ryciny na rewersie wstupenki).

*Pewnego ranka po prostu  
przeczytałem w gazecie:  
Józef K. mieszka w Polsce!*

## Lewandowski: żyję w świecie Kafki

Sejm odrzucił wczoraj wniosek o umorzenie postępowania przeciwko b. ministrowi prywatyzacji Januszowi Lewandowskiemu. Przeważała postawa PSL, KPN, BBWR i części SLD. Sprawa wróci zapewne do komisji. Jej dotychczasowe prace wykazały, że stawiane Lewandowskiemu zarzuty łamania prawa nie znajdują potwierdzenia w faktach. – Czuję się jak w świecie Kafki – powiedział wczoraj PAP były minister. – Stawia mi się od kilku lat zarzuty nie podając dowodów.



74 248 Ko. 1, 6.

## Gdzie jesteśmy: w Republice Tanich Aluzji, czy w Rzeczypospolitej Bez Cenzury?

Gdy pod koniec maja br. wysłałem *Przecinek* do... (nazwisko na razie przemilczę), to napisałem doń w liście, że wydaję te materiały, bo nie chcę, aby moje teksty pojawiały się w nie chcianych (a więc często: manipulowanych) kontekstach; a tu nie tak dawno usłyszałem w „Pegazie” wypowiedź adresata – ot, pół (a może nawet ćwierć) zdania. Pół zdania: ile to sekund w telewizji? Pół zdania o **Pannie Nikt** Tomka Tryzny. Mniemam, że krytyk uzasadnił szerzej swoją opinię (nb. niezbyt entuzjastyczną), niestety, odbiorcy musieli się zadowolić urwanymi (i wyrwanymi z kontekstu) słowami. Nie tylko ja wysłuchałem słów wybitnego krytyka, oczywiście. Oto Mieczysław Orski, omawiając w *Odrze* (1995, nr 7/8) **Pannę Nikt**, poczuł się osobiście dotknięty telewizyjną wypowiedzią. Cytat będzie obszerny, ale taki musi być (jeśli mamy polemizować, to konkretnie):

*Wielu, bo książka miała liczne – a przy tym mocno różne w tonacji – recenzje, które zresztą w wielu przypadkach były recenzjami tyleż z powieści Tryzny, co ze wzmiankowanej recenzji Miłosza; jeden warszawski krytyk oświadczył autorytatywnie w jednym zdaniu przed szeroką widownią telewizyjnego „Pegaza”, że nie rozumie hatasu wokół przeciętnej powieści młodzieżowej (podkr. aut. - dop. JP), co miało zapewne stanowić kolejną ze strzałek rzuconych przez owego zoila w kierunku „plastikowego pomnika” naszego laureata, ale moim zdaniem ta strzałka znowu się odbiła i poszybowała rykoszetem w osobę miotacza (nad którego nb. „niemłodzieżowymi” odkryciami literackimi sprzed kilkunastu lat czas liło się, ale szczególnie spuścił zastonę). Oczywiście zestawienie „Panny Nikt” do katalogu młodzieżowego miało zdezawuować wartość książki – ale było w istocie plastikową rzutką (...).*

Cóż to za „jeden warszawski krytyk”? Główkuj, główkuj, czytelniku... To straszny „zoil” zwalczający nie Trynę, lecz Miłosza, który b. wysoko ocenił we wrześniu 94 r. w *Gazecie o Książkach* (dod. do *Gazety Wyborczej*) **Pannę Nikt**... Niewątpliwie, ob-

szerny tekst Miłosza spopularyzował powieść (powiedziałem żartobliwie Tryźnie w październiku 94 r. w Krakowie, że wreszcie Noblista zrobił coś pożytecznego i dla młodej polskiej literatury), co wcale nie znaczy, by opinia ta miała zakończyć rozmowę o **Pannie Nikt**. A opinie pojawiały się różne: i entuzjastyczne (P. Bratkowski, Miłosz), i powściągliwe, i napastliwe. Zresztą czytelnicy (ja też) nie mogli ich zweryfikować osobiście: powieść Tryzny ukazała się w małym nakładzie, w księgarniach nie można było jej kupić (nb. recenzent *Odry* korzystał z egz. udostępnionego mu przez autora). W czerwcu 95 r. pojawiło się drugie wydanie **Panny Nikt**. We wrześniu br. Wajda przystąpił do kręcenia filmu na motywach powieści (do serialu telewizyjnego przygotowuje się autor książki, który – jak wyznał – bardziej wierzy w film niż w literaturę). Oczywiście, o powieści Tryzny zrobiło się głośno: niewątpliwie to także (a może przede wszystkim?) zasługa eseju Miłosza. Ale czyż wszystkich (mimo że nie zachwyca) musi **Panna Nikt** zachwycać? Mnie np. **Panna Nikt** się podoba, choć nie uważam jej za rewelację prozatorską. To niewątpliwie sprawnie napisana powieść: czytałem ją z przyjemnością. No i zazdroścuję autorowi niebывалого rozgłosu, choć wcale takiej powieści nie chciałbym napisać... A ponadto nieco zastanawiają mnie owe 15-letnie lolitki. Dlaczego autor wybrał takie bohaterki? Nie mam mu za złe: pisarz jest panem powieści, a nie czytelnik. W każdym razie: coś mi tu (prostodusznemu czytelnikowi) zgrzyta... Dodam, że **Panna Nikt** nie przekonała Jana Błońskiego, który zarzucił autorowi *matą wyrazistość stylu*: Tryzna *zdaje się pisać nie słowami, lecz obrazami* (*Książki* 1995, nr 9, dod. do *Gazety Wyborczej*). A co powie Orski o opinii Juliana Kornhausera (*Tygodnik Powszechny* 1995, nr 40)? *Bez wątplenia „Panna Nikt” jest powieścią dla młodzieży, choć tego faktu krytyka nie chce wziąć pod uwagę.*

Ale nie piszę tu o powieści Tryzny, lecz o przedziwnej polemice. Oto Orski popelnia kilka poważnych uchybień polemicznych, które uważam za niegodne poważnego krytyka literackiego.

1) Nie podaje nazwiska adwersarza (wiadomo: źle czy dobrze, byle po nazwisku!), natomiast określenie „jeden warszawski krytyk” brzmi nieco ironi-

cznie (och, oni tam w Warszawie..., a po drugie przywołuje znany tytuł *Wieszcza Adama*).

2) Nie podaje daty emisji „Pegaza” (94 czy 95 r.? jaki miesiąc?).

3) Tendencyjnie interpretuje wypowiedź („oświadczył autorytatywnie”, a przecież krytyk mówił w swoim imieniu, nie jest ani profesorem, ani redaktorem naczelnym, ani dyrektorem wydawnictwa, ani marszałkiem sejmu...).

4) Krytyk nazwany jest „zoilem”, czyli złośliwcem.

5) Pojawia się aluzja do wypowiedzi nitelewizyjnej (jakiej?).

6) Orski bez jakiegokolwiek uzasadnienia neguje zasługi krytycznoliterackie „miotacza” (kolejny epitet!).

7) Wypowiedź warszawskiego krytyka jest „plastikową rzutką”.

Mamy tutaj nagromadzenie zarzutów z kilku parafii, zarzutów aluzyjnych, a tak podanych, by czytelnik niewtajemniczony (a wtajemniczonych jest wśród czytelników *Odry* może kilkudziesięciu) nie mógł ich natychmiast zweryfikować. Orski nie ułatwił zadania czytelnikom *Odry*, postanowiłem więc czytelnikom *Przecinka* (niewątpliwie mniej licznym) rozjaśnić nieco w głowach. Wyjaśniam więc prostodusznie, o co chodzi w zdaniach Orskiego.

Ad 1. Mowa o Henryku BEREZIE, jednym z najwybitniejszych krytyków polskich XX w. Nie uważam, że Orski musi go cenić, podziwiać etc., ale „jeden warszawski krytyk” ma imię i NAZWISKO.

Ad 2. Urwana opinia Berezę pojawiła się w „Pegazie” chyba w kwietniu 95 r. To nie ja powinienem podać dokładną datę.

Ad 3. Odebrałem pół zdania Berezę jako normalną opinię krytycznoliteracką, bez jakiegokolwiek odcienia profesorskości czy mentorswa.

Ad 4. Hm, może być Berezę „zoilem”, czemu nie, nie takimi czułyimi słówkami go nieraz obrzucano...

Ad 5. Określenie „plastikowy pomnik” nie pojawiło się w „Pegazie”.

O co więc chodzi? Orski nawiązuje tu (a czytelnicy *Odry* przecież nie muszą o tym wiedzieć czy pamiętać!) do głośnej ankiety paryskiej *Kultury* (1992, nr 7/8) pt. „Pisarze niedoceniieni – pisarze

przeceniieni”, w której zabrał głos m. in. Berezę (dodam: także Orski). Wśród „Pisarzy niedoceniionych” (*jest ich legion*) wymienił Berezę J. Iwaszkiewicza, L. Buczkowskiego, T. Różewicza, M. Białoszewskiego, W. Myślińskiego, A. Łuczeńczyka i R. Schuberta. Natomiast o przecenianych Berezę pisze tak: *Tych musi być siedmiokroć więcej niż niedoceniianych, odpustowe imitacje z plastyku grają rolę wielkich ryb literatury, uchodzą za łososie, szczupaki, okonie, do sztucznych karasków nie ma co się dobrać, tego i owego wydmuchanego szczupaka warto wskazać palcem:*

*Czesław Miłosz (sporadyczny poeta, mierny prozaik, biegle eseista, na Nobla może wystarczyć, na prawdziwą wielkość za mało).*

Dalej wymienia także K. Brandysa, T. Konwickiego i M. Nowakowskiego. Czyż Berezę musi uwielbiać Miłosz? Nie musi... Ale Orski jest oburzony: Noblistę należy kochać i już!

Ad 6. Orski zapewne strzela do *Twórczości* i pisarzy lansowanych przez Berezę. Dlaczego nie napisze wprost? Wiadomo, *Twórczość* atakowana jest z wielu stron, m. in. za drukowaną tam prozę. Pisze się o „berezniakach” (P. Kuncewicz), o kręgu Berezę, ostrzega się (!) czytelników przed tą zarzą prozatorską etc. Nie piszę tu apologii Berezę czy *Twórczości*, nie podaję więc dokładnych adresów bibliograficznych. Niedawno Błoński (*Książki* 1995, nr 9) postawił diagnozę niemal psychiatryczną: uważa tę *literacką szkodkę za samobójczą*. Nikt nie musi cenić (nie mówiąc o czytaniu) tej prozy, oczywiście, najważniejsze, że się w *Twórczości* ukazuje – i tak zdecydowały czytelnicy (i obecni, i przyszli). Ja czytam prozę w *Twórczości* z uwagą: niektóre teksty mnie zachwycają, niektóre są mi obojętne, inne znów niekiedy mnie odrzucają. Jakże jednak uboższa byłaby proza polska, gdyby nie owe teksty pojawiające się w *Twórczości*. Niektóre prozy zapewne umierałyby w szufladach, inne być może w ogóle by nie zostały napisane. Jestem przekonany, że zasługi Berezę, m. in. w promowaniu nowych zjawisk w prozie, zostaną należycie docenione i żadne (nawet najbardziej niesprawiedliwe i nieprzychylnie) wydziwiania konkurencyjnych krytyków ni-

## Do Leszka Leonarda Przyjemskiego

PS. DO ZBIORNIKU  
W PARYŻU!



Abientat! Drogi Leszku, merci za katalog wydany z okazji wystawy w Centrum Sztuki Wsp. w Wwie. Aż za wytworny! W tych ciężkich czasach... No tak, tekst po polsku i angielsku - teraz będziesz mógł się pokazywać w galeriach /i salonach?/ Paryża, Nowego Jorku, Pekinu, Moskwy, Jerozolimy itd. z KATALOGIEM w ręce /lewej?/. "My name is Leshek. I'm staying at the Museum of Hysterics. Tu wszystko po angielsku"... Kim jest Grzegorz Borkowski - kurator /dlaczego nie - jak kiedyś - Komisarz?/ wystawy i autor solidnego tekstu o Tobie? Och, tyle czarnych i kolorowych reprodukcji. Na kredowym papierze. Na pewno KATALOG kosztował 100, albo nawet 200, milionów /st./ złotych. Hm, i moje zdania o Tobie - także po angielsku! Pisziesz, że Galeria "Tak" lubiła przecinki. Jak to? Czytam: "tak przecinek tak przecinek" ale nie widzę ani jednego!! Pisziesz: "Zamieść to w nr.2 Przecinka/.../np. z okazji 25-lecia Galerii". Chyba to zrobię - bo i dziś cieszy mnie to poetyckie przesłanie...

Katinskaide  
15 Jun. 1995

Podziękuję wiersz  
Krytyka

PS. KODIA. ORYGINAL (9/16 x 75 cm) w zbiorach Museum of Hysterics  
w Dinkham 1c. Drukowane.

# **GALERIA „TAK”**

BYDGOSZCZ  
WARSZAWA  
WROCLAW-POZNAN

**Nieistniejąca przecinek galeria przytakująca**

**Galeria „Tak” przytakuje wszystkim  
poczynaniom artystycznym**

**Tak przecinek tak przecinek tak przecinek  
Przecinek tak przecinek tak przecinek tak**

**Czas zrobi swoje przecinek**

**Galeria „Tak” prosi o zgłaszanie  
Wszelkich poczynañ artystycznych**

**Przecinek w celu przytaknięcia przecinek**

## **Przecinek**

# **TAK**



## **Przecinek**

**Galeria „Tak”  
Bydgoszcz  
przy Śniadeckich  
POLAND  
Kierownictwo  
być może artystyczne**

**W składzie  
Wiśniewski  
Leonard  
Przyjemski**

**Komitet Doradczy  
nie został  
jeszcze powołany,  
a składa się  
z wybitnych twórców**

## Gdzie jesteśmy...

dokończenie ze s. 43

czego nie zmienia. Powiem po gombrowiczowsku: Berezka wielkim krytykiem jest!

Oczywiście, Orski może sobie uważać Berezę za „warszawskiego krytyka”, to jego sprawa, może uważać Miłosza za geniusza (też jego sprawa), którego dokonania nie podlegają jakiegokolwiek ocenie krytycznej, ale też nie powinien odmawiać prawa do własnych opinii innym krytykom. Czytam recenzje i eseje Berezki od 40 lat. Tak, od 40 lat. W 1955 r. za namową licealnego polonisty zaprenumerowałem (ja, 13-latek!) w IV kwartale *Nową Kulturę* i tam po raz pierwszy zetknąłem się z nazwiskiem Berezki. Wiele się przez 40 lat z jego tekstów nauczyłem: i jako czytelnik, i jako pisarz. Nie ukrywam: czuję się zaszczycony, że dwa swoje listy do mnie, listy-eseiki, opublikował Berezka w *Twórczości*. A zarazem czytam z uwagą i pożytkiem teksty (wymieniam tylko autorów żyjących) Błońskiego, Falkiewicza, Głowińskiego, Balcerzana, Łukasiewicza, Barańczaka, Nyczka (i wielu innych). Czytam krytyków różnych, bo tylko wieloaspektowe spojrzenie na literaturę mnie zajmuje.

Pora na wnioski. Zabrzmi to może zaskakująco, ale zdania Orskiego bardziej przypominają mi wystąpienia krytycznoliterackie sprzed 1989 r. (np. niemal w *Trybunie Ludu*) niż teksty w czasach bez cenzury. Piszę to z pewną przykrością, bowiem cenilem dotąd teksty krytycznoliterackie Orskiego, także jego trudne w ostatnich latach żeglowanie *Odrę*, powiem więcej: zawsze uważałem go za krytyka poważnego, ponadto prywatnie lubię go (pisał i o moich książkach: i źle, i dobrze), a tu taki oszołomski niemal kawalek. Zresztą o Berezce (również bez wymieniania nazwiska) pisał Orski poprzednio kilkakrotnie. Czyżby Orski miał kompleks Henryka Berezki?

(X/95)

## Szmal będzie: to dobrze...

W tomiku Bogusława Żurakowskiego *Znaki wodne* (Kr. 1993) znajduje się piękna i tajemnicza „Plaża”. Tajemnicza, choć na pozór prosta jak wierszyk z elementarza. Czytam:

*Jesteśmy na dzikiej plaży. Nikt się nie opala.  
Nikt się nie kąpie. Nie ma nawet morza.  
Jest rzeka. Stary but wystaje z piasku.  
Oczywiście. Oczywiście: kiedyś będzie dobrze.  
Kiedyś był tu szmal. Jeszcze będzie  
Szmal. Spacerujemy zamykając oczy.*

Zaintrygował mnie szmal. Najpierw zazgrzytał, jak bym w tym miejscu wstawił np. słowo kurwa. Niewiele słów, a tu pojawia się dwukrotnie (przebież nie bez powodu). Więc i to słowo trafiło do poezji? Wiele lat temu spotykało się je jako niemal egzotyczne w prozie Marka Nowakowskiego; w Warszawie (zdaje się) jest używane powszechnie, ponoć nie tylko w podejrzanym towarzystwie. A w Polsce? Jeśli weszło do poezji, to chyba zostało nobilitowane. Wiadomo: mamy smalec/szmal (oczywiście, z niemieckiego); podczas okupacji ponurą sławą cieszyli się szmalcownicy. Natomiast szmal (derywacja wsteczna?) pętał się jakby na marginesach polszczyzny. Nie notują tego wyrazu słowniki ogólne (może źle szukałem?). Dopiero ostatnio znalazłem go w *Słowniku argotyzmów* S. Kani (Wwa 1995), z którego dowiedziałem się, że pochodzi z gwary złodziejskiej, a znaczy po prostu: pieniądze. Mamy więc pieniądze, forsy i szmal. Zdziwiłem się, gdy jeden z kandydatów na urząd prezydenta RP (nb. wytworny warszawski profesor) powiedział: *Jestem kandydatem bez forsy*. A jeszcze bardziej się zaplątałem, gdy przeczytałem w poważnej gazecie taki swawolny tytuł: *Lewy szmal za martwe dusze*. Teraz rozumiem: poezja naprawdę nadąza za życiem. To ja jestem opóźniony.



## Napisy (na murach)

Zawsze lubilem czytać napisy na murach, parawanach, w ubikacjach, pociągach i autobusach. W tej anonimowej pisaninie niekiedy pojawiały się prawdziwe poetyckie odkrycia. Ale też słowa protestu politycznego. Nie tylko w stanie wojennym. Po 1989 r. napisy na murach nie znikły, można za to powiedzieć, że się ukłoczały. Kiedyś się wstydziło ostrych wulgaryzmów, rasistowskich czy antysemitycznych wyrazów, teraz (co tak szokuje cudzoziemców) można przeczytać hasła: *Zydzi do gazu!*, *Zydy (Araby) won z Polski*. Już się przestałem dziwić (czyli kurwować w duchu na „pisarzy”), gdy dowiaduję się (także z tv) o niektórych publicznych wypowiedziach „prawdziwych Polaków” i (co najbardziej zasmucające) dostojników Kościoła katolickiego. Skoro wyrostki mają tak znakomitych mistrzów, to... Wolę już te niezdarne rymowane napisy, przekorne, niekiedy prawie poetyckie, niekiedy wulgarne, niż zatrujące umysły slogany polityczne. Kiedyś przeczytałem głos księdza, że oto szerzy się agresywny antyklerykalizm, bo na murach widzi się napis: *Księża na księżyc*. Być może, że wypisywali to także antyklerykałowie, ale wiadomo, że to tylko poetyckie dopowiedzenie do hasła: *Ziemia dla ziemniaków*, które znów było polemiką (zazwyczaj dopisywano je niżej) z hasłem narodowców: *Polska dla Polaków*. Oto te dowcipne, poetyckie polemiki w pewnym sensie rozbroiły to głupawe hasło (ponadto cudzoziemskie, por. *Francja dla Francuzów*); autorzy pozostali anonimowi, a ja chętnie przyznałbym im laury poetyckie.

Czytam teraz z ciekawością polemiki nastolatków: *Beata szmata*. A ktoś dopisał kredą: *A ty kosmata*. Ile lat miał chłopczek, gdy pisał farbą: *Jebać stare baby?* A tam co? *Dorotka glizda*. A po kilku dniach odpowiedź: *Ty sama pizda*. No, no. A najbardziej ucieszył mnie napis: *Lankiewicz kocham cię!* Niestety, zapomniał(a) o przecinku.

## Kuleczki-mozartki z Mirabell

Salzburski park zobaczyłem najpierw w 1978 r. we wrocławskim BWA na obrazie Stanisława Korczyki „Zeszłego lata w Mirabell” (malarz też go przedtem nie widział, lecz – jak mi powiedział – zainspirował się wierszem G. Trakla). Staszek podziwiał pałac i park Mirabell w marcu 1986 r., gdy wystawiał obrazy w Galerie Kutscha (über dem Café Mozart), a ja zapewne nie zerknę (w najbliższym czasie) na stojącego w parku Mirabell kamiennego jednorożca (mam za to zdjęcie: M. głaszczę go pod chrapkami). No i tu, we Wrocławiu, zaeram się kuleczkami Mozarta z Mirabell, które przywozła z Salzburga M.: najpierw w ustach rozplywa się masa czekoladowa, potem nugatowa, wreszcie - marcepanowa. Ponad dwieście lat temu ponoć delektował się nimi genialny i niesforny Johannes Chrisostomus Wolfgangus Teophilus Amadeus, szukanowany przez księcia arcybiskupa (czyż nie z powodu tych imion, których nie mógł zapamiętać?): teraz każda kuleczka owinięta w papierek z jego konterfektem. Który to poeta pierwszy napisał: niebo w gębie?



In diesem Hause in Salzburg wurde Wolfgang Amadeus Mozart am 27. Jänner 1756 geboren.  
This is the house in Salzburg where Wolfgang Amadeus Mozart was born on the 27 January 1756.  
Voici la maison de Salzbourg où naquit Wolfgang Amadeus Mozart le 27 janvier 1756.



ECHTE SALZBURGER  
MOZARTKUGELN

## Jak się powiedziało a...

Nie wierzyłem, że jednak postawisz na swoim – powiedział mi w połowie maja po ukazaniu się pierwszego *Przecinka* znajomy pisarz, z którym od ponad trzydziestu lat dyskutuję/klóczę się/dywaguję – jak to napisał Peiper – o wszystkim i jeszcze o czymś. Ot, rozstałem/rozdałem prawie wszystkie egz. (kilka zostało w archiwum biurkowym) i okazało się, że zaplanowałem nakład zbyt niski (zawinił b. planista Piotr Czyżyk).

Na Dolnym Śląsku o pojawieniu się *Przecinka* poinformowało 31 maja 95 *Słowo Polskie*. Barbara Sola omówiła zawartość „pisma autorskiego”, a zarazem zapytała: *Jestże on, „Przecinek”, aktem minorarii, czy odwagi?* P. Czyżyk nie ma wątpliwości: i jednym, i drugim... Również w sopockim *Toposie* (1995, nr 5/6) Krzysztof Kuczkowski niezwykle życzliwie polecił czytelnikom *Przecinek*; niestety, podał on fałszywą wiadomość jakoby Piotr Czyżyk nie istniał... Otrzymałem ponad 20 listów, w większości od wyśmienitych „czytelników zawodowych”. Oczywiście, z różnorakimi opiniami. Jeden z nich, jak zwykle list-eseik, znany jest już nie tylko mnie. Mowa o „Szczegółę” Henryka Berezę (*Twórczość* 1995, nr 9). Chciałbym zacytować także zdania prysznicowate, które albo świadczą o całkowitej porażce *Przecinka* (i powaga, i autoironia), albo... : *Niepokoi mnie tylko jedno: czy Pan nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do sądów innych na Pana temat, grzecznościowych wzmianek itd. Przecież 95% z tego, co się o innych pisze, to są rzeczy całkowicie zdawkowe. A ciekawe jest tylko to, co Pan o sobie wymyśli. Święta prawda, ale ... wszystkie opinie krążą: i mądre, i głupie, i zdawkowe, i ironiczne. Drukuję natomiast w całości (za zgodą autora) list, który otrzymałem pod koniec maja (datownik na kopercie: Bydgoszcz 2 95.–5.24.15).*

★

*Drogi Panie, mimo że dla swego „Przecinka” poszukuje Pan mecenasów, a nie korespondentów, myślę, że w przyszłości znajdzie się dla mnie miejsce między małymi prozami, dopowiedzeniami, wycinkami, zapiskami. Podobne rodzaje są mi, właśnie jako „okruszki epepei”, bliskie. Pozwalają bowiem zejść z narracyjnych koturnów. Środek przekazu dyktuje nam sumienie. Piszę do Pana, by zapać oddech i przestać się zadrećcać z każdym słowem wiersza albo innego gatunku, który nas zobowiązuje do przestrzegania porządku.*

*Teraz kiedy siedzę w najstarszej po wojnie kawiarni, jedynej, która w Bydgoszczy ocalała i przechowuje w centrum miasta jak w grobowcu dawne, schorowane upiory kilku znanych z widzenia mieszkańców; kawiarni odremontowanej „na secesję”, znów widzę jak rzeczywistość nie nadąga za literaturą.*

*W chwili, gdy zapisuję te słowa, w położonym naprzeciw kantorze wciąż zmienia się kurs dolara i konkurującej z nim marki. Skąd pewność, że na tym polega postęp? Nowe elity znów deklarują reformy, które obiecują w przyszłości zbawienie, a tymczasem jak dawniej „konie przejadają Polskę”.*

*Żadna zmiana ekipy ani kostiumu nie powstrzyma ich apetytu. Po prostu Polska musi być zjedzona, a to, co rzekomo się powtarza, to znaczy cały zespół gestów i rytuałów, nie jest tragedią, lecz farsą.*

*Nie mam złudzeń. Tym bardziej jestem przerażony, że w tej chwili, jakieś sto metrów od „Cristalu”, w tym samym gmachu z czerwonej cegły, przemianowanym z Waryńskiego na Norwida, M. zdaje maturę. Potem „idzie” na filozofię do Torunia. Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takiej chwili. Mój chłopiec, zwolniony z wojska, kończy szkołę i marzy, by zapisać się w szeregi wynawców interpunkcji. Nasza mniejszość jest coraz mniejsza, ale jednak istnieje. Powierzam jej syna i ten tekst, który piszę bez myśli o honorarium, więc jednak niech Pan mnie potraktuje łaskawie jako mecenas, zwolennika „Przecinka”.*

Serdeczności  
Krzysztof Nowicki

### Trzynaście zdań... (dokończenie ze s. 32)

13. Teść (prawie głuchy: nie słyszy ostrego dzwonka u drzwi) bardzo lubi, gdy mosiężnym dzwonkiem przywołuje się go do kuchni (wtedy wie: obiad na stole!), jak w przedwojennych filmach, w których pani starsza (i pani młodsza też) energicznie potrząsa dzwonkiem, a pokojówka, wystrojona jak najpiękniejsza księżniczka, przybiega natychmiast i pyta przymilnie: pani dzwoniła?  
(95)

---

### Zamiast minirecenzji

Nie, nie będzie „Minirecenzji” w *Przecinku*. Po prostu: będzie to możliwe, gdy pismo zacznie się ukazywać regularnie, co najmniej 4-6 razy w roku. W zesz. 2 nadal więc tylko krótkie zdania o niektórych książkach, które odpoczywają na moim biurku. Ile ukazuje się teraz w Polsce nowych zbiorów wierszy? A nowych powieści, zbiorów opowiadań, esejów? Kto to wie...

Spśród książek poetyckich wymienię dwie: **Przed wierszem** Krystyny Miłobędzkiej (Fundacja „brulionu”, Kr.- Wwa 1994) i **Zieloną granicę** (Wyd. OKIS, Wr. 1995).

Zbiór Miłobędzkiej (podtytuł: „Zapisy dawne i nowe”) to prawie wiersze zebrane. Pięknie wydana książka (modlitewnikowy format, sztywna okładka, pergaminowe strony-przerywniki) ma, niestety, jedną wadę: za małą czcionkę. Ale przecież najważniejsze są teksty: zapisy tajemnicze, zapisy quasi-naiwne, zapisy urywane, jakby bez początku i końca, po prostu fragmenty księgi. Zwraca też uwagę wielość wierszy autotematycznych. Ma chyba rację T. Nyczek, który najlepiej te wiersze odczytał, że poetka pije z tego samego źródła, co Białoszewski. Ja dodałbym: także Karpowicz.

Natomiast **Zielona granica** to „polsko-saksońska antologia poetycka” (wybór i oprac.: Ernest Dyczek). Dwujęzyczna. Wydana z funduszy polskich i niemieckich. Zawiera wiersze młodych poetów dolnośląskich, tłumaczone przez poetów saskich, oraz wiersze poetów saskich (młodego i średniego pokolenia), przekładane przez poetów dolnośląskich. Oryginał i przekład – oto zasada podstawowa. Sporo niezłych wierszy.

**Drugie życie** Krzysztofa Nowickiego (Biblioteka Odd. Bydgosko-Toruńskiego SPP, Bydgoszcz 1995) to zbiorek próz-dopowiedzeń/rozwinieć motywów/komentarzy do Canettiego, Defoe, Camusa, a przede wszystkim Kafki (obszerny „List do Franza Kafki”). Do mnie najbardziej przemówił poemat prozą „Ostatki”.

Dwie książki muszę wymienić razem, bowiem łączą je poniekąd i forma, i źródła inspiracji, czyli miasto Gliwice. **Podróż w krainę dzieciństwa** Horsta Bienka (przeł. – fatalnie – Maria Podlasek-Ziegler) nosi podtytuł „Spotkanie ze Śląskiem” (Wyd. „Wokół nas”, Gliwice b.r.w.), natomiast **Dom, sen i gry dziecięce** Juliana Kornhausera (Znak, Kr. 1995) – „Opowieść sentymalna”. Bienek opowiada o sobie w niemieckich Gliwicach (do połowy 1945 r.), natomiast Kornhauser – przeżyciach J. (do połowy lat 60-tych) w polskim mieście. W obydwu porusza mnie aura miejsca i

czasu, która i mnie jest b. bliska, choć nigdy w Gliwicach nie mieszkałem; do 1960 r. była to i moja powiatowa metropolia. No i moja biografia (jak J. w **Domu**) wiąże się z gliwicką ul. Lelka: gdybym w lipcu 1959 r. (po przeczytaniu gazetowego anonsu) nie wszedł do lokalu Ligi Przyjaciół Żołnierza, to moje życie na pewno ułożyłoby się inaczej. Czy lepiej? Czy gorzej? – to już zupełnie inna opowieść...

Esaj Andrzeja Falkiewicza **Nie-Ja Edwarda Stachury** (Wyd. A, Wr. 1995) wydany został niezwykle starannie: z przyjemnością takie pozycje kładę na biurku... Falkiewicz zajmuje się głównie tekstem **Fabula rasa** (i uzupełnieniami do niego). Autor ma wielki dar krytycznoliterackiej perswazji: gdybym nie miał jednoznacznego zdania o tej pozycji Stachury (cenię przede wszystkim jego opowiadania i powieści), to zapewne też głosiłbym, że **Fabula rasa** to *całkowite spełnienie jego życia i twórczości*.

Książka Ryszarda Nycza **Tekstowy świat** (Wyd. IBL, Wwa 1995) zawiera rozprawy drukowane już w czasopiśmie i księgach zbiorowych (podtytuł: „Poststrukturalizm a wiedza o literaturze”). Mnie najbardziej zainteresowały rozdziały o parodii i pastiszu oraz o kolażu literackim (tu m.in. o L. Buczkowskim). Dodam, że to wydanie drugie, a okładka (b. udana!) nieco surrealistyczna.

Andrzej Pańta przysłał mi dwie swoje książki, tym razem przekłady utworów Artura Schopenhauera: **O geniuszu i szaleństwie** (Wyd. Miniatura, Kr. 1995) i **Metafizykę miłości płciowej** (Wyd. Harmonia, Gdańsk 1995). A gdzie nowe wiersze? Tak, tak, za przekłady Nobla się nie dostaje...

Dwie pozycje (Zygmunt Trziszka **Na pohybel**, Zenon Łukaszewicz **Mój alfabet**) przysłał mi (nieznany mi dotąd) Związek Twórczy Pisarzy Polskich, którego nakładem ukazały się w Ofic. Wyd. „Ziemia” (Wwa-Zielona Góra 1993). Trziszka napisał (jak czytamy w podtytule) „powieść dokument” o Kazimierzu Świtoni, natomiast Łukaszewicz opowiada o sekretach (głównie) zielonogórskich literatów i dziennikarzy. Najbardziej jednak ubawiły mnie cytowane przez Łukaszewicza zdania pewnego literata o Trziszce: *Przy Foksal kopnął W. Nawrockiego w dupę, po czym zmykał przed nim po Krakowskim aż obaj ruch drogowy zatamowali. Czy ty ich widzisz w tej bójce? Nawrocki Zygmunta nie dopadł.* No tak, samosądów nie popieram, ale to nie był zwykły kopniak, lecz Kopniak, który się słusznie jednemu z czołowych Pismaków stanu wojennego należał...

**Dopisek Piotra Czyżyka.** Odnotuję jeszcze jedną, szczególną pozycję, wydaną tak wytwornie, że niemal się wstydzę... za **Przecinek**. Oto tytuł: **Całość i fragmenty**. Podtytuł: „Galeria Autorska Jana Kaji i Jacka Solińskiego 1979-1995. Wybór tekstów. Chronologia zdarzeń. Ważniejsze wydawnictwa” (Galeria Autorska, Bydgoszcz 1995). Zawiera m.in. teksty H. Wańka, S. Piskora, J. Pluty, E. Dyczka, A. Falkiewicza, K. Kuczkowskiego oraz sporo reprodukcji druczków GA.

## Ezopowa opowieść

W trzeciej serii Biblioteki Wr. Oddz. Stowarzyszenia Pisarzy ukazało się wiosną 95 r. 6 pozycji: 5 zbiorów wierszy (Córka nocy Urszuli Benki, Koncert na adwent Adama Poprawy, Zabici czasem długo stoją Anny Janko, Wnętrze spojrzenia Piotra Klimczaka, Małe wiersze Macieja Niemca) i opowiadanie Ernesta Dyczka **Termity**. Nakład serii: 500 egz.

Czytałem **Termity** po raz pierwszy pod koniec 1983 r. w dwu wersjach maszynopisowych: było wówczas oczywiste, że tekst raczej nie ukaże się w oficjalnym obiegu. Sprawdziło się to nieco później: ani oficjalne (a więc podlegające cenzurze), ani podziemne (a więc poza cenzurą) czasopisma/wydawnictwa nie zdecydowały się wtedy na druk: to, co dla jednych było nazbyt konkretne, to dla drugich – nazbyt aluzyjno-ironiczne... W pierwszej połowie lat 80-tych – z jednej strony niebywale powodzenie miały utwory aktualne, jak np. dziś zapomniany **Raport o stanie wojennym** Nowakowskiego (liczne wydania podziemne), a z drugiej – ezopowe opowieści, jak np. wtedy właśnie przełożony i kilkakrotnie wznawiany **Folwark zwierzęcy** Orwella. **Termity** Dyczka przynależą niewątpliwie do tego drugiego nurtu.

I oto czytelnicy niemieckojęzyczni mogli wcześniej niż polscy przeczytać w 1986 r. parabolę wrocławskiego pisarza. Książka ukazała się w Salzburgu w nakładzie 1000 egz.: na wszystkich egzemplarzach ołówkowe autografy prozaika i grafika. Ja natomiast mam jedyny na świecie egzemplarz **Termitów** – z trzema autografami, czyli także tłumacza, który złożył go w 1987 r., gdy przebywał we Wrocławiu...

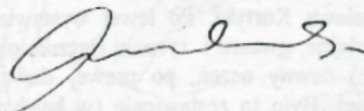
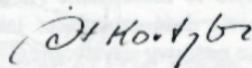
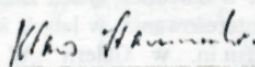
Wiadomo: ezopowe opowieści albo się w lekturze nazbyt ukonkretniają, albo też stają się – w innych okolicznościach, w innym czasie historycznym – prawie nieczytelne. W stanie wojennym **Termity** (zgodnie zapewne z intencją autora) czytało się per analogiam: oto historia rewolucyjnego przewrotu w termitierze, który w efekcie później doprowadza społeczność do zagłady. Główny bohater został przedstawiony przez autora od początku do

końca z pobłażaniem: sam się swoimi czynami kompromituje (także poprzez swoisty język). Ale ważne jest także to, co wie czytelnik, co niejako sam sobie dopowie. Ma rację autor w posłowniu, że dziś czyta się tę historię inaczej. Rzeczywistość, z której naśmiewa się Dyczek utonęła, rozwiła się jak mgła, natomiast ogólne przesłanie **Termitów** wcale się nie zdezaktualizowało: patrzmy uważnie na uszczęśliwiaczy ludzkości, codziennie można ich spotkać na ulicy, w telewizji czy sejmie. Oni już dobrze wiedzą, jak naszą termitierę urządzić. Np. niektórzy krzyczą (jak w **Termitach**), że musimy zacząć od czystości (moralnej), a potem już wszystko się ułoży wspólnie...

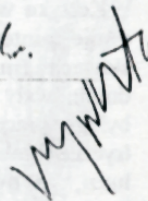
## Ernest Dyczek **TERMITEN** Erzählung

aus dem Polnischen  
von Klaus Staemmler

mit Grafiken von  
Stanislaw Ryszard Kortyka

salzburger **N**edition





**STANISŁAW R. KORTYKA**

**MALARSTWO**

Wernisaż: 4 kwietnia 1995 r. o godz. 17<sup>00</sup>.

Wystawa czynna do 28 kwietnia 1995 r.

GALERIA „AWANGARDA” 50-149 Wrocław, ul. Wita Stwosza 32

## Kortyka – trójprofesor...

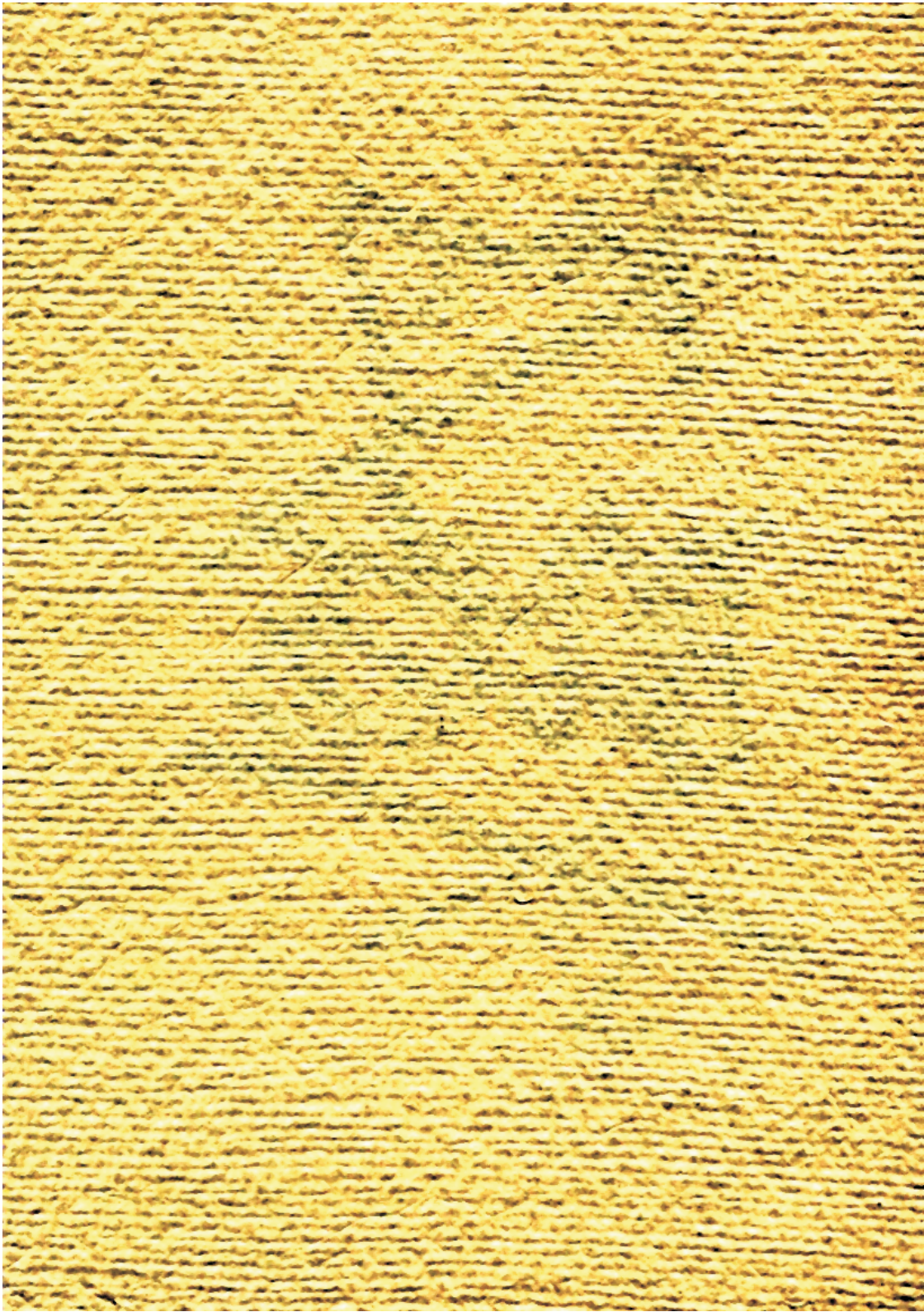
Nie wiem kto (dobra dusza czy ironista?) wpadł na pomysł urządzenia tych dwu wystaw we wrocławskiej „Awangardzie” (kwiecień 1995): emerytowanego profesora – Zbigniewa Karpińskiego i jego następcy w Katedrze Malarstwa PWSSP we Wrocławiu – Stanisława Kortyki. Po lewej wystawiał obrazy olejne, gwasze i rysunki (łącznie ok. 70 prac) dawny uczeń, po prawej dawny nauczyciel. Było to zestawienie (w każdym razie dla mnie!) dość szokujące: jakież to przeciwstawne postawy artystyczne...

Kortyka w ostatnich latach zmienił nieco swoje zainteresowania: w latach 80. na wystawach (m.in. w Galerii „W Pasażu”) dominowały obrazy malowane jakby przez byłego pracownika kamieniołomu (geometryczne bloki, dużo brązu, nigdzie śladów ludzi, na dwóch tylko obrazach odkryłem kielkujące kartofle...). Teraz poznałem miłośnika fal morskich, który w wielu

ujęciach chce zatrzymać ów ruch tajemniczy, powtarzający się od tysiącleci. Chodziłem, patrzyłem, podziwiałem: starałem się zapamiętać niebieskości i szarości. I tak najbardziej podobała mi się stara (?) „Elegia II” (100 x 150 cm) z 1990 r.

Dlaczego tak żartobliwie z tytułowałem tę notkę? Właściwie to muszę od razu dodać: trójpowołanie. Jest bowiem Kortyka artystą plastykiem, poetą i nauczycielem akademickim. Jest trójprofesorem, bo otrzymał tytuł belwederski, a zarazem jest profesorem malarstwa w PWSSP we Wrocławiu i WSP w Zielonej Górze. Nie mogę się z nim umówić od trzech lat: ciągle przebywa w podróży i pracowni...

Na s. 41 ekslibris Kortyki z 1974 r.: zdobi on (to nie puste słowo) wiele moich książek. Zaproszenie wzbogacił „rytmami” na moją prośbę: takiego druczku nie ma nikt inny.



My

Photo

---